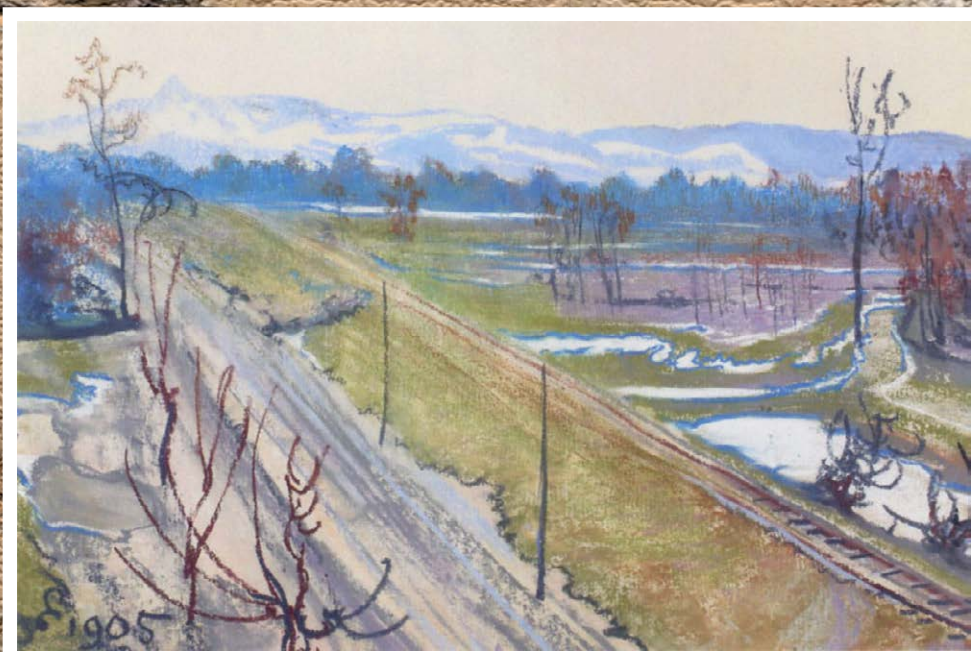


ISSN 1507-4781 * ROK XXIX * ZIMA (I, II, III) 2026 * nr 107

FORUM107

MYŚLI WOLNEJ

krakowski magazyn racjonalistów



Stanisław Wyspiański
Widok z okna na Kopiec Kościuszki (1905)

W numerze m.in.:

- Tadeusz Boy-Żeleński, *O dewaluacji i waloryzacji języka*
- Sławomir J. Tabkowski, *Przekrojem przez stare kalendarze, cz. III*
- Danuta Stolarek, *Furie czerwonego terroru XIX i XX wieku, cz. II*
- Felietony
- Poezja – A. K. Torbus – Wiersze



1 OD REDAKCJI

TEMATY SPRZED LAT

- 2 Piotr Augustynek – *Aby język giętki...*
2 Tadeusz Boy-Żeleński – *O dewaluacji i waloryzacji języka*

MYŚLĄC BELFREM

- 6 Piotr Augustynek – *Taka piękna katastrofa*

UŻYWAJMY ROZUMU

- 8 Józef Kabaj – *Mądra szkoła szkołą mądrości – refleksje i dywagacje – przegląd postaw i poglądów – dyskusja*
20 Adam Jaśkow – *Timeo Danaos, jądło ciemności*

SZLAKIEM SZTUKI KRÓLEWSKIEJ W POLSCE

- 22 Bogumił M. Woźniakowski – *Od Surowieckiego do Krajskiego – czyli rzecz o masonożercach*

REMINISCENCJE

- 33 Sławomir J. Tabkowski – *Przekrojem przez stare kalendarze*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

- 42 Danuta Stolarek – *Furie czerwonego terroru XIX i XX wieku (część II)*
52 Andrzej Witkiewicz – *Okrutne (i czasem dziwaczne) opowieści z dworu „Obrońcy chrześcijaństwa”, czyli pamiętniki Sarneckiego*

FELIETONY

- 58 Marchoń – *Polskie paradoksy*
59 Babcia – *Przeczekać życie*

POEZJA

- 60 Andrzej Krzysztof Torbus – *Okrutnie złudne marzenia*
60 *Dyptyk niepokorny*

Z PORTALI INTERNETOWYCH

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady
mgr Magdalena Mrugała
– sekretarz Rady

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Jan Hartman,
prof. dr hab. Wojciech Kajtoch,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Mieczysław Jakubiec, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

OD REDAKCJI

Co mamy? – Małe zamieszanie. Albo nie tak małe... – Co zaś będziemy mieć? Jaki firmament posiada nasza Ojczyzna? – A co to takiego firmament?

Według Encyklopedii PWN firmament to inaczej sfera niebieska. W takim razie spróbujmy kombinować, co też owa Sfera nam przyszykowała na 2026 rok.

Oczywiście, każde z nas po swojemu patrzy i szuka dziury w tej Sferze, żeby wypatrzeć coś dla siebie. Lecz co będzie z firmamentem Polski w zwykłym, konkretnym (o tyle o ile) znaczeniu? Bowiem jaką przyszłość Niebiosa przewidziały dla naszego Kraju, to nazbyt górnolotne pytanie – jeśli uwzględnić przyziemne zabiegi tych wieszczów i wieszczków, którzy się powołują na bliskie relacje z ową Sferą.

Jako pismo racjonalistyczne staramy się wychodzić poza wpojone nam i nadal wpajane stereotypy w rodzaju tego, że wszystko jest takie a nie inne zgoła, bo Stwórca już wszystko najlepiej urządził, a zatem nie może być lepiej, niż jest. Skoro sama Doskonałość uznała, że „jest dobre”. My zaś uważamy – i wierzymy, że nasi Czytelnicy podzielają tę opinię – że tworzyć przyszłość można tylko na odpowiedniej realnej podstawie. Taka jest nasza wiara.

Uważamy, że tworzenie podstawy do konstruowania modelu przyszłości odbywa się – bo nie jest nam dana „z góry” – poprzez mądre kształcenie dzieci i młodzieży. Przy czym należy odróżniać rozbudzanie wyobraźni oraz kształtowanie wrażliwości za pomocą fantazji „z tysiąca i jednej nocy”, czy bajkami à la Bracia Grimm, od stymulacji fantastyką przekraczającą nieco twarde dane obecnej fizyki, chemii czy medycyny, à la Lem, Bułyczow czy Strugaccy. Rodzimych mądrych „fantastów” też mamy sporo, by wymienić choćby następców Lema, takich jak Zajdel i Dukaj, czy bajkopisarzy takich jak Sapkowski, Grzędowicz i inni. Kiedyś był jeszcze Ziemiałowicz, zanim doznał przemienienia.

Kalendarzowa okoliczność skłania do refleksji. Również nad tym, czego dokonaliśmy w tym roku, kim jesteśmy i co mamy do zaproponowania naszym Czytelnikom. Otóż: trzymaliśmy fason, tj. dawaliśmy odpór – jak przystało magazynowi racjonalistów – częstym w naszym Kraju, szczególnie w szkolnictwie mającym być Oświatą – aktom dezinformacji, indoktrynacji oraz prostego tumanienia. I zamierzamy to nadal czynić. Kropla (też) „draży skałę; nie siłą, lecz częstym padaniem”. Utożsamiamy się z poglądem, że ludzki rozum obywatela się bez „metafizycznych” odniesień.

Co więc nas czeka w nadchodzącym roku? Odpowiadamy: dalsza wytężona praca – mimo kłód rzucanych nam pod nogi i nie tylko – nad przebudową świadomości naszych Rodaków. By nie przedkładali mrzonek o Królestwie Anielskim, o przyjściu Mesjasza (ponownym) i zaprowadzeniu przezeń Królestwa Bożego na Ziemi z Maryją jako Królową Polski, nad organiczną pracę u podstaw, którą postulowali pozytywiści i inni realisci. Używanie rozumu jest trudne, ale w ostatecznym rozrachunku nader opłacalne.

Do tego właśnie zachęcamy naszych drogich Czytelników, starając się ile sił dawać osobiście przykład dobrej roboty, oraz przytaczając przykłady skuteczności takiej postawy.

Redakcja FMW na Gwiazdkę

PIOTR AUGUSTYNEK

ABY JĘZYK GIĘTKI...

Tekst Boya prezentowany w obecnym numerze znowu nosi cechy prorocstwa, a co najmniej rozumnej prognozy społecznej.

Nasz Doktor przyglądając się zjawiskom językowym (przypominam: lata 20-30 XX wieku) wyraża uczucie niepokoju, a jednocześnie wie, że przemiany zachodzące wewnątrz języka są tak silne, tak uparte, że wszelkie protesty i próby ich ograniczenia są zupełnie bezskuteczne.

Ciekawe co rzekłby nasz Patron dzisiaj, gdyby przyszło mu śledzić zjawiska językowe w mediach społecznościowych, w telefonii komórkowej. A przecież te sfery nie są jedyne, gdy idzie o zmiany języka. Spróbujmy prześledzić zmiany w prasie drukowanej, reklamie. A gdyby tak prześledzić język sprawozdawców sportowych, polityków? Obserwując popisy posłów wszystkich stron sceny politycznej łatwo jest dostać zawału, ewentualnie zwątpić w przyszłość naszego, niełatwego przecież języka.

„... chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa...”

Tak napisał Wieszczy. Miał rację, jeśli chodzi o zasadę. Jednak nachodzą mnie różne niewesołe wątpliwości co do kolejności zjawisk. Według Słowackiego najpierw pojawia się w głowie myśl, a potem do działania przystępuje język jako głosiciel myśli. A co mamy, gdy myśli nie ma, albo jest głupia? Co ma zrobić nieszczęsny aparat mowy? No cóż. Język giętki powie to, co głowa wymyśliła, ale często czuje się po prostu głupio. Takie czasy.

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

O DEWALUACJI I WALORYZACJI JĘZYKA

Czytam w jednym z pism następującą notkę:

KRUCJATA PRZECIWKO
NAPUSZONEMU STYŁOWI

Cała prasa faszystowska z zadowoleniem komentuje walkę, wytoczoną hiperbolicznej frazeologii* przez samego

* Zamieszczony tekst zawiera oryginalną pisownię i składnię.



„Duce”. Półoficjalna „*Popolo d'Italia*” pisze w tej sprawie: „Żaden prowincjonalny sekretarz związku faszystowskiego nie poważy się – mówiąc o działalności swoich towarzyszy – użyć innego wyrażenia, jak *bohatera akcja*. Bo dziś wszystko u nas określane jest mianem bohaterstwa, tryumfu, dynamizmu, absolutu, niezwykłości, monumentalizmu etc. Opinia publiczna domaga się położenia kresu takiemu nagigrywaniu się ze zdrowego rozsądku; – należy radykalnie zdemobilizować wszystkie te superlatywy i zwalczać apolityczną inflację stylu.

Zamyśliłem się nad tem. Ileż to razy, nie będąc Mussolinim i nie mając jego wszechwładzy, frasowałem się wszakże zastraszającym bombastem i przesadą wkradającą się do naszego języka. Nie mówię już o tym dziele, który mi jest najbliższy rzemiosłem: o sprawozdaniach teatralnych; tutaj epitet już dawno zatracił swoją wagę. Ale i wszędzie indziej; w powieściach, w dziennikarstwie. I, im dłużej dumałem, tem bardziej kwestja wydała mi się skomplikowana.

Nie ulega kwestii, że w języku spostrzega się stale bardzo ciekawe zjawisko ciągłej *dewaluacji*. Jak w monetach. Niegdyś „złoty” był zapewne złoty; później stał się *złotówką*; drobną monetą srebrną. Francuski *livre* ważył kiedyś funt złota; potem stał się maleńkim ułamkiem funta. To samo ze słowami. Francuskie *étonné* znaczyło niegdyś osłupienie człowieka jak gdyby rażonego piorunem (*tonnerre*); dziś znaczy po prostu *zdziwiony*, i to raczej lekko. To samo u nas. Słowa ścierają się od użycia, zmniejsza się ich „siła kupna”, trzeba ich sypać coraz więcej, albo słabsze zastąpić mocniejszymi. Dość przytoczyć słowo „cudowny”, i zabawne nieporozumienie, kiedy pani, wróciwszy z kina, w entuzjazmie swoim chwaliła przy służącej film, że jest „cudowny”; służąca wzięła to dosłownie. Słowo *cudowny*, *cudny* – jakże silne w swej etymologii! – starło się tak bardzo, że pewien wielki pisarz, używając tego słowa o kobiecie, wzmacnia je często przydatkiem „niewiarygodnie cudna”, co w istocie trąci już barokiem. Ale nie

tylko w literaturze; to samo w potocznym użyciu, w ulicznej czy kawiarnianej gwarze. I tu nowy objaw, niezależny od dewaluacji słów przez zużycie. Ten objaw, to *przesada*: element języka, nie będący jego zwyrodnieniem, ale raczej samem życiem, samą jego istotą związana z najgłębszymi sekretami duszy ludzkiej. Czyż na przykład wykrzyknik: „godzinę czekam”, w ustach człowieka, który czeka w istocie pięć minut, nie jest protestem duszy ludzkiej przeciw mechanicznym czasomierzom, czyż nie jest proklamowaniem tryumfującej dziś teorii względności? „Szalenie lubię ciastka z kremem”, powie pensjonarka, mimo, że nigdy nie dostała przy ich jedzeniu napadu szału. „Sto razy ci mówiłem” etc. Każdy afekt związany z szybszym obiegiem krwi żąda przesady w mowie. Słowo odpowiadające rzeczowej prawdzie byłoby fałszem uczuciowym. Zamiast wielu superlatywów trzeba by poprzestać często na skromnym *dosyć*; ale i to *dosyć* czyż nie znaczy pierwotnie „do syta”? „Pyszny” zmieniło się na „przepyszny”, a i to niewiele już warte. „Ośłupiałem”... „Konał ze śmiechu”... „Skaczę pod sufit z radości”... możnaby mnożyć tysiące (znów przesada!) przykładów. Czyż dziw, że to samo, w wyszukańszej formie, znajdzie w słowie pisanem?

To samo z obrazami. Wystarczy wspomnieć poezję ludową lub język dziecka, aby pojąć jak *obrazowanie* jest pierwotnym i wrodzonym sposobem wyrażania myśli. „Mama ma ciepłe plecy jak jelen na słońcu”, mówił do matki pewien znajomy mi trzyletni chłopiec, chowany w pobliżu zwierzyńca, gdzie były jelenie. Czyż to nie *Pieśń nad Pieśniami*, skomplikowana freudowskim „kompleksem matki”? Usta jak wiśnie, piersi jak jabłuszka, włosy złote (wciąż przesada!) oto zapewne najdawniej-

sze porównania na ziemi. Ale porównania zrobiły się najstraszliwszą piłą jako liczman poezji; gorszą jeszcze gdy, przeszły do potocznej prozy, oderwane od obrazu, wystygłe, mechaniczne, często skrojone z paru kłócących się ze sobą członów. Był czas, gdzie tułały się w poezji Żórawie, chociaż mało który z poetów widział w życiu żórawia; ale widział je za młodu Słowacki. Potem zluźował Żórawia szczęśliwie aeroplan. Sam Słowacki daje cudownie ekspresjonistyczne, *widziane* porównania jak np.: „Księżyc bił w drzewa srebrnymi mieczami”... a równocześnie sam dewaluje nadużyciem swoje *perły*, *rubiny*, *anielstwa* etc. W piśmiennictwie potocznym, pośpiesznym, wynaturza się to do szczytu; nadużywa się porównań; mnożą się porównania fałszywe; objaśnia się rzecz prostą rzeczą wyszukaną. Biorę świeżo do ręki felieton i czytam: „Teatr dobry, tani i ruchliwy, któryby odegrał rolę społeczną polipa wciągającego wieloma mackami najszerze warstwy w orbitę kultury teatralnej”... Miły Boże! Co tu cudów w tem jednym zdaniu. *Rola społeczna polipa!*... polip *wciągający mackami najszerze warstwy!* I do tego w *orbite!*... (Nawiasem mówiąc, warstwa może być *głęboka*, ale nie szeroka). A to pisał dobry i rozsądny pisarz, nie jakiś „szmok” dziennikarski. Temu by dał Mussolini!

Oto naprędce rzucone (temat jest tak obszerny, że możnaby o nim mówić bardzo długo) przykłady dewaluacji. Otóż gdyby ja przyjąć jako stałe zjawisko, musiałyby wszystkie języki dawno zwyrodnąć, tymczasem widzimy że tak źle nie jest. Złe jest tylko, kiedy przychodzą okresy nagłej nadmiernej *inflacji*, wtedy trzeba myśleć o środkach zaradczych. Bo język wciąż dąży do tego, aby uzdrawiać swoje finanse, wciąż przetapia swoją monetę, stemplu-

je ją na nowo i daje jej nowy kurs. Jeżeli nigdy może nie rozstaje się z tem co, jak rzekliśmy, jest jego integralnym składnikiem, z *przesadą*, to zmienia wciąż formy tej przesady, odnawia jej wartości emocjonalne. Inna jest wspaniała przesada naszych Romantyków, a inna retoryczna bezmyślna przesada oratorów z epoki saskiej. Od czasu do czasu odbywa się „wielkie pranie” języka: powrót do prostoty. Pamiętam taki okres; jednym z uroków prozy Sienkiewicza po nadużyciach poezji była prostota: po romantycznych *anielstwach* i *błyskawicach* jakże świeżo i modnie brzmiały jego karesy: „ty bardzo moja”... „moja najdroższa Głowa” etc. (Najdrobniejszy odcień ma tu znaczenie: pewna piękna pani dowodziła mi, że całkiem co innego jest napisać do kobiety: „*Moja droga*”, a „*droga moja*”...). Potem się ta Henrykowa „prostota” (która dziś wydaje się dość sztuczna) z kolei zdewaluowała, ustępując miejsca dytyrambom Przybyszewskiego.

Znałem pewnego redaktora, którego głównym zajęciem, pasją, było tępienie przymiotników: pod jego niełitościwym a rozumnym ołówkiem okazywało się, że większość przymiotników jest zbędna. Romans Musseta z George Sand zaczął się od tego, że młody Musset, wzięwszy w rękę powieść owej głośnej już autorki, wykreślił na pierwszej stronie dwadzieścia przymiotników. Iluż pisarzy łamie się uparcie z językiem, zdobywając nowe wartości dla całej generacji! Jak trudna jest ta walka, jak wciskają się utarte formy nieustannie i bezwiednie pod pióro, oto mały przykład: Stendhal mawiał, iż, pisząc powieści, odczytuje co dzień parę stron kodeksu cywilnego dla nabrania tonu; tak wstrętną mu była zdawkowa przesada stylu. I ten sam Stendhal opisując uczucia młodego człowieka, z któ-

rym się przekomarza kochanka, znajduje pod piórem takie określenie: „Juljan cierpiał tak, jakby mu lano w piersi roztopiony ołów”... Roztopiony ołów! Niech spróbuje!

Wniosek z tego taki. Wyrażanie uczuć i myśli *bez reszty* możliwe jest zapewne tylko w muzyce. (Choć i tam ileż konwenansów!) *Słowo* jest z natury swojej materiałem ciężkim i niedoskonałym, którego znaczenie polega w sporej mierze na konwencji; słowo wciąż się ściera, wciąż oscyluje pomiędzy niedomogą a przesadą. Pośpiech dziennikarstwa niewątpliwie przyczynia się do wyświechtania języka, a pamiętajmy, że coraz bardziej karmi się dziennikiem. Nie książką. U nas jeszcze większe niebezpieczeństwa niż gdzie indziej. Po pierwsze, zbyt mało zajmujemy się językiem (są oczywiście wyjątki; niech kto spróbuje pogadać z Tuwimem o wspaniałym *Słowniku etymologicznym* Brucknera: mówi o tej książce jak o kochance, rumieni się!). W szkole absorbowała całe generacje obowiązkowa nauka języków obcych. Po drugie, bardziej może niż gdzieindziej nad naszą potoczną prozą zaciążyła poezja. Odrodzenie naszej literatury wyszło z poezji: ona ze swoim przepychem porównań, ze swoją wspaniałą przesadą, wcisnęła się „jak polip w orbitę” naszego kształtowania myśli. A pamiętajmy, że co w poezji pięknem i prawdą, to może być w prozie liczmanem i załganiem.

Słowem, język to nie jest rzecz gotowa od Boga dana, ale przeciwnie, stosunek do języka musi być wciąż czynny i z natury rzeczy jest walką. ... □

„Plotki, Plotki”

Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”,
Warszawa, 1922

PIOTR AUGUSTYNEK

TAKA PIĘKNA KATASTROFA

Sytuacja polskiej edukacji przypomina peereelowskie problemy nie do załatwienia: problem papieru toaletowego, problem sznurka do snopowiązałek, recyklingu butelek i innych funkcjonujących w oparach niemożności. Niektórzy z nas to pamiętają. Jeszcze.

Skąd takie skojarzenia? Dlaczego tak się wyzłościwiam? Ano, dlatego, że czterdzieści trzy lata spędziłem w służbie edukacji. Stąd (tak sądzę) mam prawo do krytycznego spojrzenia.

Co konkretnie wiemy o sytuacji w polskim systemie edukacji? Konkretnie nic. Co jakiś czas Pani Minister B. Nowacka składa jakieś informacje, z których nic a nic nie wynika. Wydaje się, że wszystkie działania reformatorskie są połowiczne albo całkowicie nieprzygotowane. Czasem nie bardzo wiemy, po co one są. Tak było w przypadku owej nieszczęsnej inicjatywy dotyczącej edukacji zdrowotnej. Nie dość, że sam program stał się elementem walki politycznej, to nagle Pani Minister ogłosiła, że przedmiot ten nie będzie obowiązkowy, a – co za tym idzie – niewątpliwie słuszna inicjatywa po prostu zmarła, nawet bez wielkich cierpień. Trudno posądzać kierownictwo MEN i innych prominentnych polityków koalicji rządzącej o brak znajomości realiów i brak wyobraźni politycznej; szczególnie, gdy prawicowa opozycja jest taka, jaka jest.

Wśród bokserów (jakże ważna to obecnie grupa społeczna) panuje zasada, że nie wolno do ataku iść bez odpowiedniego przygotowania. Cios wyprowadzony w próżnię osłabia zawodnika, a przede wszystkim go ośmiesza.

Podobnie udaną inicjatywą jest ostatni pomysł, jaki wykreowało Ministerstwo

Edukacji Narodowej. Chodzi o to, żeby zmniejszyć uczniom limit nieusprawiedliwionych godzin lekcyjnych z 50% do 25%. Powyżej 25% ucznia czekają (teoretycznie) grube nieprzyjemności, z brakiem promocji włącznie. Najprawdopodobniej szkoła nie będzie mogła w każdej chwili respektować wszystkich zwolnień lekarskich. Ciekawy jestem, w jaki sposób dzielne Ministerstwo zechce egzekwować ów zakaz. Próby wprowadzenia tego przepisu sprawią, że będzie jeszcze śmieszniej. Dlaczego? Dlatego, że uczeń od pierwszego kroku w szkole ma być przyzwyczajony do respektowania obowiązkowości, sumienności i poważnego traktowania swojej pracy, jaką niewątpliwie jest zdobywanie wiedzy. A to nie jest tylko zadanie szkoły. Ten nawyk musi być wprowadzony już w domu. To w domu powinno się wpajać i respektować zasady: „wypełniam obowiązki, dotrzymuję słowa, to, co robię, traktuję poważnie”.

Wiem, że poprzednie zdania wywołują śmiech lub zgółą zdrowy rechot pod niejedną polską strzechą. Tam zwłaszcza, gdzie w cenie jest cwaniactwo i brak poczucia odpowiedzialności za to, co robimy. Czy sternicy naszej edukacji mają jakikolwiek pomysł na pracę z rodzicami, na to, jak skłonić do myślenia, że pewne działania wychowawcze muszą być realizowane wspólnie? Obawiam się, że nie.

Mamy zamiast przyzwoitego programu jakieś oderwane od rzeczywistości pomysły, jakieś działania pozbawione możliwości realizacyjnych; pozory, pozory, pozory.

Analizując to, co ma stanowić ofertę edukacyjną, moglibyśmy co chwilę wskazywać na objawy bezmyślności, działań po-

zornych, braku generalnej koncepcji co do kształtu i misji edukacyjnej polskiej szkoły.

Do tego musimy dodać, a jakże, wręcz upokarzającą sytuację ciągłych targów, sporów i pozornej troski o zarobki kadry nauczycielskiej i nie tylko.

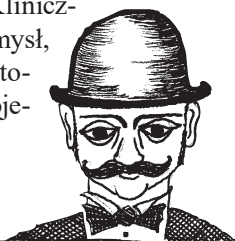
Dość powszechnym jest zjawisko polegające na tym, że władze samorządowe (boję się, że centralne też) traktują edukację jak pierwszy z brzegu worek gotówki, z którego można zaczerpnąć, gdy budżet z jakichś powodów się nie spina. Zazwyczaj dodatkowo (i to nierzadko) pojawiają się niepochlebne opinie o kadrze nauczycielskiej. Że roszczeniowa, że narzeka pomimo długich wakacji, ferii etc. Klinicznym przykładem głupoty był pomysł, żeby nauczycielom nie płacić za gotowość do pracy, bo któraś z klas poje-

chała na wycieczkę, np. do muzeum. Czy można było wymyślić coś głupszego? Pożyjemy, zobaczymy. Fantazja pracowników MEN zda się nie mieć granic.

Słychać biadolenie władz na temat słabości kadry pedagogicznej. Powiem coś, co dawno powinno funkcjonować jako banał. Chcecie mieć wybitną kadrę, to po pierwsze przyzwoicie ją wykształćcie, a po drugie rzetelnie oceńcie jakość tej kadry, po trzecie i dziesiąte zapłaćcie tej kadrze tyle, ile zarabiają nauczyciele w większości krajów Unii Europejskiej. A może wam, kochani decydenci, wcale nie o to chodzi? □

Wesołych Świąt!

Piotr Augustynek



EROTOMANIA

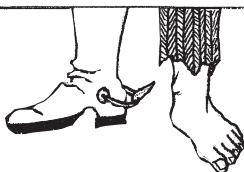
W czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych neurolog i psychiatra Zygmunt Freud wyznał swojemu koledze, Jungowi, że Amerykanki wprawiają go w załopotanie opowieściami o tym, że widzą go w swoich snach erotycznych.

- Dlaczego więc nic z tym nie zrobisz? – zapytał Jung.
- Przecież ja jestem żonaty! – powiedział Freud z irytacją w głosie.

WODOMÓZGOWIE

Wolter, zauważywszy w pokoju pewnego znanego i bogatego szlachcica kilkadziesiąt peruk, wykrzyknął:

- Istne cuda! Tyle peruk dla człowieka, który w zupełności nie ma głowy!



MĄDRA SZKOŁA SZKOŁĄ MĄDROŚCI – REFLEKSJE I DYWAGACJE – PRZEGLĄD POSTAW I POGLĄDÓW

Wracając do mądrego kształcenia, o którym wspomnieliśmy we wstępie „od redakcji”. Kto to potrafi? Nasze nauczycielstwo jest w przeważającej mierze – wiem, bo przez półwiecze obracałem się w tym środowisku i żyłem w tym klimacie – albo wprost „pokole-niem JPII”, entuzjazmującym się „Barką” „ABBA Ojczy”, albo są płodem tego pokolenia. Stąd to pochodzi, że nadal, jak przed wiekami, głos mają u nas (i to tęgi) antyewolucjoni-ści oraz inni płaskoziemcy; niczym w amerykańskich stanach zaliczanych do sławetnego „pasa biblijnego”.

Prawo głosu ma każdy. Nie tylko ci, co mają ukończone 18 lat, lecz i dzieci. Bo co to za kryterium ów wiek? Zupełnie tej rangi, co dość już i u nas popularny ageizm, wykrzyku-jący inwektywy typu „dziadersi do piachu”. Mimo iż w naszym Kraju prawie każdy/każ-da zostaje – w końcu – śp.

Decydować jednak powinni ludzie dorośli; o ile dorośli...

Kiedyś, nie tak dawno, w szkolnictwie wyższym panowała na najwyższym szczeblu hierarchii swego rodzaju nomenklatura: profesor nadzwyczajny – czyli ten niższy stopniem – czekał, aż się zwolni katedra o jego specjalności, tzn. aż umrze jej kierownik, prof. zwy-czajny, albo przejdzie on na emeryturę. Niekiedy działo się to dopiero wówczas, gdy staru-szek/staruszka już gubił/gubiła wątek. Wtedy to powstało powiedzenie, iż taki a taki prof. zwyczajny nie jest nadzwyczajnym profesorem; lub odwrotnie: ten a ten prof. nadzwyczajny jest nienadzwyczajnym profesorem. Ale doczekał i rządzi.

Kiedyś pojawiło się takie powiedzenie (podaję je w potocznym brzmieniu, niezupełnie gramatycznie poprawnym): „po złym panie – jeszcze gorszy nastanie”. Nie bez powodu...

Wszystko – prawie – jest chore. Nic nowego, lecz obecnie widać to wyraźnie, bo jest cał-kiem jawny ten ustrój, w którym najczęściej mają do powiedzenia ludzie zepsuci przez ów system: od samej góry, czyli rządzących, po sam dół, czyli po ofiary tego samego systemu, które – wszak – promują i wybierają sobie władzę na swój „obraz”.

JK

DYSKUSJA

Racja fizyka

„Racja fizyka, Kaśka butów nie ma.”
Motto książeczki „Podręcznik Mądrości tego świata profesora logiki, filozofii oraz sowietologii, ojca Innocentego Marii Józefa Bocheńskiego OP, które autor zapoży-czył od Władysława Reymonta. Odmia-

ną antynaukową jest wersja „racyja fizyka, spadła świnia z chliwika” (Kuj. I, 201).

Magazyn „wyborczej” 23. 12. 2022, ar-tykuł „o nobliście Penrose, że będąc fizy-kiem nie deklaruje ateizmu, a „tylko agno-stycyzm”.

Materiał: Fizyka jest dziś o wiele bliżej uznania istnienia Boga jako aktywnego elementu obiektywnej rzeczywistości. Marek Abramowicz.

„Odkrycia dotyczące względnej natury czasu i przestrzeni, kosmologii Wielkiego Wybuchu oraz kwantowej nieoznaczoności nadwątlily status ateizmu.”

„Fizyka jest dziś o wiele bliżej uznania istnienia Boga jako aktywnego elementu obiektywnej rzeczywistości, niż była w wieku XIX. Dokonane bowiem w XX i XXI wieku przełomowe odkrycia, zwłaszcza dotyczące względnej natury czasu i przestrzeni, kosmologii Wielkiego Wybuchu oraz kwantowej nieoznaczoności, znacznie nadwątlily (niektórzy twierdzą: całkowicie zakwestionowały) status materializmu i ateizmu jako oczywistego paradygmatu nauk przyrodniczych, który obowiązywał w wieku XIX. Fizycy deklarują dziś, i to wcale nie rzadko, przekonania podobne do platońskich, dopuszczając istnienie duchowych, niematerialnych aspektów rzeczywistości. Rzecz jasna takie przekonania nie są tożsame z wiarą w istnienie Boga, ale bez wątpienia są jawnie sprzeczne ze światopoglądem stricte materialistycznym.”

Komentarz

• Jaka fizyka? Odpowiedź: biblijna. Ta, wedle której „opowieści biblijne” są faktami. Wielu fizyków – tu się zgadzam z p. Abramowiczem – uznaje za fakt mit o potopie, który jest oczywistością dla teologów, lecz którego nie potwierdza geologia, opowieść o tablicach z przykazaniami, jakie Mojżesz otrzymał od Boga, oraz o „arce przymierza”. Sam znałem fizyka (prof. UJ), który utrzymywał, że wizerunek twarzy Jezusa (?) na „całunie turyńskim” powstał skutkiem „fizycznego promieniowania”. Słyszałem też, jak ks. prof. Michał Heller, uchodzący za kosmologa, głosił, że „Bóg jest matematyką wszechświata”. Taka to fizyka. Mnie zaś uczono – na moje szczęście



Prof. Marek Abramowicz

(tak uważam) – że fizyka jest nauką o przyrodzie, po grecku fysis (φύσις), czyli o tym, co powstaje i ginie.

• Czy nauka o przyrodzie „dopuszcza istnienie duchowych, niematerialnych aspektów rzeczywistości”? Odpowiedź: z pewnością ich nie neguje, tak jak nie neguje istnienia latających smoków ziejących ogniem, w tym „Latającego Potwora Spaghetti”, bóstwo opisane w 2005 roku przez fizyka Bobby’ego Hendersona, w które podobno wierzą pastafarianie. Jeśli nie jest to tylko parodia religii. Jest natomiast psychologia dobrze zasłużona i oparta na solidnych podstawach nauk przyrodniczych, która pomaga obecnie naukom medycznym – czytaj: pacjentom m.in. psychiatrii (też nauki przyrodniczej) w leczeniu „odchyleń” od rzeczywistości. I pomaga naprawdę, nie tak jak egzorcyzmy polegające na przykładaniu krzyża, albo nawet wkładaniu go do miejsc intymnych.

Noblista deklaruje: nie jestem ateistą

Sir Roger Penrose, laureat Nobla z fizyki w 2020 roku, jest zapewne najbardziej rozpoznawalnym platonikiem wśród współczesnych fizyków. Jego tysiącstronicowa „Droga do rzeczywistości”, będąca wyczerpującym opisem współczesnej fizy-

ki, rozpoczyna się od sugestii, że najgłębszą istotę rzeczywistości stanowi splot trzech autonomicznych światów: materii, idei oraz umysłu. Podobny koncept rozważał Platon, a jego współczesną wersję – Karl Popper. Zdaniem Penrose’a w ten sposób najlepiej zrozumieć można świat materii, który badają fizycy.

Wielu fizyków na Harvardzie bardzo ceni to, jak Olga Tokarczuk bada duchowe elementy rzeczywistości.

W wywiadzie dla „Spectatora” 19 grudnia 2020 roku zadeklarował się sir Roger jako agnostyk, podkreślając, że „na pewno” nie jest ateistą. Penrose postrzega metafizyczne splątania fizyki jako fundamentalne tajemnice istnienia – równie intrygujące i głębokie jak szczegółowe problemy nauki. Ufa, że nauka się z niektórymi upora, ale kończy mocnym i szczerym „nie wiem”: „Czy wierzę w istnienie czegoś, co wymyka się poznaniu naukowemu? Cóż, trudno to wiedzieć na pewno. Czym jest nauka? Gdzie są jej granice? Czy fenomen świadomości jest pozanaukowy? Wolę się nad tym zbytnio nie zastanawiać. Z pewnością wykracza to poza naukę, jaką mamy dzisiaj”. Gdy kilka lat temu Penrose i Krzysztof Meissner – jeden z trzech, obok Daniela An i Pawła Nurowskiego, współpracowników wymienionych przez sir Rogera w noblowskim wykładzie – pracowali nad pewnym trudnym rachunkiem, zamknęli się na kilka dni w klasztorze w Czerwińsku, szukając tam spokoju i inspiracji. Wykład Meissnera „Fizyka a wiara” na YouTube obejrzało już 1,2 mln widzów.

Roger Penrose: Fizyk pyta Boga o duże liczby.

Sir Roger Penrose
(wyrażnie natchniony)

Komentarz (JK)

Co do „metafizycznych splątań fizyki jako fundamentalnych tajemnic istnienia.”

Umówmy się – powtarzam – że fizyka zajmuje się przyrodą, a nie tym, „co jest poza nią”, czyli „metá” (μετά). Już starożytni myśliciele proponowali, żeby nie mówić o tym, co nie istnieje. Na przełomie wieku VI na V p.n.e. niejaki Parmenides z Elei twierdził stanowczo, że wyraz „byt” oznacza to, co istnieje. Zatem nie ma „niebytu”. Średniowieczni natomiast używali pojęcia „ponadbytu”, czyli boskości, które miał wprowadzić Pseudo Dionizy Areopagita (VI w.). Do czegoś się to przydawało i nadal przydaje... Ale nie do miarodajnego opisu przyrody.

Finezyjnie wyregulowane prawa fizyki

Fizyka nigdy, żadnym argumentem nie wykluczyła możliwości Bożej egzystencji, toteż żaden z solidnych fizyków deklarujących się jako ateista nie twierdzi, iż współczesna nauka dowiodła nieistnienia Boga. Rzeczy mają się tak: stwierdzenie „Boga nie ma” jest fundamentem ateizmu – poważnego, godnego szacunku światopoglądu o starożytnej proveniencji, wyznawanego także przez niektórych najprzenikliwszych myślicieli w dziejach. Można się z nim zgadzać lub nie. Natomiast stwierdzenie „odkrycia współczesnej fizyki sugerują, a nawet dowodzą, że Boga nie ma” jest hucpiarską bzdurą.

Komentarz

Fizyka nie wykluczyła też możliwości istnienia krasnoludków (prawdzie oczywiście dla każdego – prawie – dziecka, że one istnieją), przecież nie można przeczyć istnieniu Latającego Potwora Spaghetti. Fizyka zajmuje się tym, co dostępne poznaniu naukowemu, a nie „czymś poza” poznaniem dyskursywnym.

Dlaczego ludzie rozsądni i bardzo kompetentni w innych niż fizyka dziedzinach gotowi są tę modną bzdurę publicznie głosić? Dlaczego nie są świadomi, że robią z siebie komicznie napuszonych bufonów? Poucza-

jąc bowiem innych, i to na ogół tonem wyniosłej arogancji, o jakoby dowiedzionym przez naukę nieistnieniu Boga, nie dostrzegają, że w najbardziej podstawowym sensie jest dokładnie przeciwnie: fizyka nie dowiodła ani nieistnienia, ani istnienia Boga, ale jej monumentalne odkrycia XX i XXI wieku całkiem zasadnie zmuszają, aby się nad kwestią pozamaterialnych aspektów rzeczywistości wnikliwie zastanawiać.

Komentarz

Ludzie „rozsądni i bardzo kompetentni” – w odróżnieniu od mitomanów – nie głoszą „modnych bzdur”, jakich wiele jest głoszonych publicznie. Ton „wyniosłej arogancji” widać właśnie u tych, którzy patrzą dalej, niż widać. Bo to oni doznają dobroci doświadczanych dzięki kreowaniu siebie – i namaszczeniu pomocników – na reprezentantów „rzeczywistości nadprzyrodzonej”, z którą się jakoby osobiście kontaktują i przekazują wierzącym przykazania.

Promieniowanie Hawkinga. Proszę wyryć $T = \frac{hc^3}{8\pi GkM}$ na moim nagrobku

Penrose /cd/

Oto trzy główne (ale daleko nie jedyne) powody, które zdaniem wielu poważnych fizyków sugerują konieczność rozważania widocznego w realnym świecie, niemożliwego do zaprzeczenia splątania fizyki z metafizyką:

1. Wbrew temu, co większość materialistów twierdziła przez tysiąclecia, materia nie jest wieczna. Nasz Wszechświat powstał w Wielkim Wybuchu 13,8 mld lat temu.

Komentarz

Sprzeczność goni sprzeczność. Pierwsza: „nasz Wszechświat”. A ile może być wszechświatów? Rozumna odpowiedź brzmi: jeden. Skoro „wszechświat” znaczy wszystko. Poza tym wszystkim – logicznie

biorąc – nie ma niczego. A poza logicznym spojrzeniem są bajki, np. opowieści o krasnoludkach. Są? Są. Ale to bajki.

„Nasz Wszechświat powstał”. Czy to ma znaczyć, że kiedyś (?) było tak, iż go nie było? Owszem, tak ma znaczyć, tzn. że niczego nie było oprócz tego, co było wieczne, czyli Boga. Czyli? No tak, na dobrą sprawę to nie wiadomo... Niepojęte i niewyobrażalne. Ale Coś! Boć przecież coś musiało być, z czego się wszystko wzięło.

Wobec tego argument z Wielkim Wybuchem, wykpiony zresztą przez jego Autora Hawkinga („co wybuchło?”), jest nie-naukowy. Jak i cała metafizyka, zajmująca się czymś „poza”, czyli nie wiadomo czym. Hasło wywoławcze tej „nauki” brzmi: *ignoramus et ignorabimus* (nie wiemy i nie będziemy wiedzieć).

2. Wbrew powszechnemu wśród ateistów przekonaniu o zasadniczym i oczywistym braku jakiegokolwiek celowości w prawach natury, bardzo dokładne i różnorodne dane dotyczące rzeczywistego Wszechświata pokazały, że brak celowości w prawach natury wcale nie jest „oczywisty”. Przeciwnie: stwierdziliśmy, że fundamentalne stałe fizyki (prędkość światła, stała grawitacji, stała Plancka, masa elektronu etc.) są bardzo finezyjnie wyregulowane „antropicznie” – to znaczy mają wartości dokładnie takie, aby gwarantowały nasze istnienie. Problem polega na tym, iż fizyka dopuszcza, aby te stałe miały inne wartości. Nie tłumaczy natomiast, dlaczego są one właśnie takie, jakie są. Ale gdyby wartości stałych były choć trochę inne, to we Wszechświecie nie mogłoby powstać życie. Na przykład, gdyby wartość stosunku siły elektrostatycznej do grawitacyjnej była nieco mniejsza, niż jest, to gwiazdy żyłyby o wiele krócej niż kilka miliardów lat, a więc za krótko, by życie mogło się rozwinąć na krążących wokół planetach. Gdyby była większa, we wnętrzach gwiazd nie mogłoby powstać węgiel nie-

zbędny dla ziemskiego życia. Dokładność wyregulowania musi być lepsza niż około 0,1 proc., aby możliwe było powstanie gatunku *Homo sapiens*.

Komentarz

„Stwierdziliśmy, że fundamentalne stałe fizyki (prędkość światła, stała grawitacji, stała Plancka, masa elektronu etc.) są bardzo finezyjnie wyregulowane „antropicznie”.

A to ci historia! Ktoś „wyregulował antropicznie” stałą Plancka i inne „stałe fizyki”? W dodatku „finezyjnie”. I to „bardzo”. Tak, „aby gwarantowały nasze istnienie”. No to już nie tylko sama „Matematyka Wszechświata” (Heller), ale i cała fizyka – źródło tego, co istnieje? A samo źródło? Jak to źródło. Widać było, kiedy – jeszcze – niczego nie było.

„Wszechświat jest więc bardzo wyjątkowy, gdyż wyraźnie zdaje się sprzyjać naszemu istnieniu. Fizyka tę naszą zdumiewającą wyjątkowość coraz dokładniej opisuje, znajdując jej nowe przejawy, ale nie potrafi wytłumaczyć, co jest jej przyczyną.”

Komentarz

Kto właściwie „wyraźnie zdaje się sprzyjać naszemu istnieniu”? Wszystko, co istnieje? Jakżeby inaczej... Inaczej przecież by nie istniało to co istnieje, gdyby sobie nie sprzyjało... I to ma być wyjątkowością? Pośród czego? Wśród „innych” wszechświatów? Powraca moje pytanie: ile może być **wszechświatów**? A przyczyną? Przyczyna bez przyczyny. Czyli absurd. Wiadomo, tradycja od św. Pawła.

3. Wbrew temu, co sądzą materialści, zdaniem niektórych fizyków kwantowych badających splątanie i teleportację fotonów i innych cząstek elementarnych rzeczywisty świat ukazuje zjawiska, które można interpretować jako zależne od naszej wolnej woli i naszej świadomości, obu autono-

micznych względem świata materii. Anton Zeilinger, tegoroczny laureat Nobla, omawiając wyniki swoich eksperymentów dotyczących kwantowego splątania, stwierdza wprost: „Będziemy się chyba musieli pożegnać z naiwnym realizmem, zgodnie z którym świat istnieje sam z siebie, bez naszego udziału i niezależnie od naszych obserwacji”.

Po co do samoorganizujących się struktur materialnych dodawać mistykę.

Te fascynujące odkrycia są tematem poważnych uniwersyteckich debat. W czwartek, 3 listopada 2022 roku uczestniczyłem w prawie trzygodzinnej dyskusji zorganizowanej w auli głównego gmachu Uniwersytetu w Uppsali przez Szwedzkie Stowarzyszenie Oksfordzkie (Oxford University Society Sweden). Nasze Stowarzyszenie zrzesza pracujących w Szwecji absolwentów Oksfordu oraz członków (fellows) oksfordzkich kolegów. Należę do niego jako Linacre College Old Fellow oraz emerytowany profesor fizyki teoretycznej na Uniwersytecie w Göteborgu.

Nazwa – Wielka Debaty w Uppsali – żartobliwie nawiązywała do słynnej Wielkiej Debaty (The Great Debate), która odbyła się 30 czerwca 1860 w oksfordzkim Muzeum Historii Naturalnej i dotyczyła teorii powstawania gatunków, ogłoszonej przez Darwina zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Debatowali Thomas Huxley, biolog, specjalista anatomii porównawczej (nazywany buldogiem Darwina), oraz Samuel Wilberforce, biskup Oksfordu. Pamiętane są także inne Wielkie Debaty, na przykład dotycząca natury mgławic spiralnych i rozmiaru Wszechświata debata Shapley – Curtis, która odbyła się 26 kwietnia 1920 w waszyngtońskim Smithsonian Museum of Natural History.

Teraz, w Uppsali, debatowali profesor Alister McGrath, teolog z Oksfordu, który jest wierzącym chrześcijaninem, oraz profesor Ulf Danielsson, fizyk teoretyk z Uniwersytetu w Uppsali, który jest ateistą

(a może agnostykiem ze skłonnością do ateizmu). Obaj należą do światowej czołówki ekspertów w swych dziedzinach i znani są z popularyzacji nauki, jako autorzy bestsellerowych książek. Profesor McGrath opisuje związki pomiędzy religią a wiedzą. Studiował w Oksfordzie biologię molekularną, a następnie teologię. Profesor Danielsson doktoryzował się w Princeton. Zajmuje się teorią strun, kosmologią, ciemną materią i ciemną energią. Jest członkiem Szwedzkiej Królewskiej Akademii Nauk oraz sekretarzem Komitetu Noblowskiego Fizyki.

Sześć pytań wyznaczało ramy debaty: Czy Bóg istnieje? Jak się to wszystko zaczęło? Czy umiemy przewidywać przyszłość? Co jest w środku czarnej dziury? Czy we Wszechświecie są inne prócz naszej inteligentne cywilizacje? Czy sztuczna inteligencja okaże się od nas mądrzejsza? Najbardziej fundamentalne z tych pytań: czy Bóg istnieje? – to zapewne najważniejsze pytanie egzystencjalne w naszym kręgu kulturowym, zadawane stale w każdym pokoleniu od zarania cywilizacji. Zmagają się z nim wszyscy bez wyjątku, choćby nawet tylko intuicyjnie, choćby nawet w sposób nie całkiem intelektualnie uświadomiony.

McGrath wierzy, że jedynie Bóg nadał sens osobowej egzystencji – jego własnej egzystencji oksfordzkiego teologa oraz egzystencji wszystkich innych ludzi. Bóg jest niezbędny, aby rozumieć głos sumienia – czyli źródło bezkompromisowej pewności w odróżnianiu dobra i zła. Istnienie Boga pozwala na przezwyciężenie eschatologicznego lęku w obliczu nieludzkiej nieskończoności Wszechświata, skonfrontowanej z nieuchronnym końcem ziemskiego, doczesnego życia.

Danielsson twierdzi, że nigdy nie doznał podobnych lęków. Przeciwnie – akceptuje jako oczywiste ogrom, prawa i urządzenie materialnego Wszechświata, którego częścią się czuje. Należy do Wszechświata w taki sam naturalny sposób jak cała ma-

teria – Ziemia wraz z jej fauną i florą, inne planety, czarne dziury, gwiazdy i galaktyki, ciemna energia. Jest tworem Wszechświata i jednocześnie jego częścią: wie, że atomy węgla oraz innych ciężkich pierwiastków budujących jego ciało powstały miliardy lat temu we wnętrzach gwiazd. Nie widzi żadnej potrzeby, aby do tego majestatycznego obrazu samoorganizujących się struktur materialnych dodawać mistykę. Życie i śmierć niechybnie traktuje jako naturalne, częściej myśląc o obowiązkach za życia niż o nicości po śmierci (takie godne szacunku ateistyczne credo pięknie i zwięźle streścił Władysław Broniewski w „Żywiołach”: „Trzeba iść i budować miasta, bo dla żywych odwrótu nie ma, bo za nami śmiercią narasta wieczność ślepa, noc głuchonierem”).

Ateista wierzy w wiele światów

Profesorowie przyjęli wstępne założenie, że skoro nie ma dowodów, ani empirycznych, ani racjonalnych, na istnienie lub na nieistnienie Boga, jego uznanie lub odrzucenie jest zawsze następstwem indywidualnej, subiektywnej wiary – wiary albo ateistycznej, albo religijnej. Dlatego nie omawiali historycznych „dowodów”, lecz opisali osobiste poszukiwania oraz impresje, skupiając się właśnie na tych dwóch metafizycznych problemach fizyki: 1. materia nie jest wieczna, 2. Wszechświat jest antropicznie wyregulowany.

Adam Michnik: Wierzę w tajemnicę. Ja nie umiałbym powiedzieć, że jestem ateistą.

Z religijnego punktu widzenia te metafizyczne splątania fizyki nie przedstawiają żadnych trudności. Wprost przeciwnie: jeśli Bóg istnieje, to Wszechświat powinien ukazywać właśnie takie splątania! McGrath nie twierdził jednak triumfalnie, że ponieważ splątania rzeczywiście obserwujemy, to fizyka dostarczyła już niepodważalnego dowodu na Boże istnienie. Bo choć stwierdzone obserwacyjnie antropiczne wyregulowa-

nie rzeczywistego Wszechświata jest całkowicie zgodne z hipotezą istnienia Boga, to przecież biorąc rzecz ściśle od strony logiki, tej hipotezy nie dowodzi: z implikacji „jeśli A, to B” nie wynika przecież, że jeśli stwierdzamy B, to musi zachodzić A. Zatem, choć fizyka współczesna odkryła we Wszechświecie zjawiska wprost zdumiewająco zgodne z hipotezą istnienia Boga, to faktu Bożej egzystencji nie udowodniła. To pozostaje domeną wiary. To stanowisko typowe dla poważnych uczonych reprezentujących oświeconą wiarę. Podobne można znaleźć, na przykład, w esejach i książkach Michała Hellera – jednocześnie księdza i kompetentnego fizyka. Oraz, co ważne, laureatem nagrody Templetona, przyznawanej za badanie związków religii i wiedzy.

Ks. prof. Michał Heller: Religia wcale nie jest kagańcem, tylko czymś, co nas otwiera na inne wymiary.

Danielsson z ateistycznego punktu widzenia standardowo tłumaczył, że przynajmniej te dwa metafizyczne splątania fizyki – materia nie jest wieczna, Wszechświat jest antropicznie wyregulowany – można wyjaśnić na gruncie materializmu, przyjmując hipotezę wieloświata (multiverse). Różne wersje tej hipotezy mają jedną, fundamentalną cechę wspólną. Zakładają, że oprócz naszego Wszechświata istnieje jeszcze nieskończenie wiele innych z naszym rozłącznych – wszystkie razem tworzą wieloświat. Choć poszczególne wszechświaty mogą się rodzić i umierać, wieloświat trwa bez czasowego początku i końca: materia jest zatem wieczna.

Obserwowaną przez nas antropiczną wyjątkowość naszego Wszechświata hipoteza multiverse tłumaczy jako pozorną. Wyjaśnię, jak rozumiał to Dennis Sciama, jeden z najbardziej charyzmatycznych fizyków XX wieku. Sciama stworzył w Cambridge w latach 60. legendarny zespół, badający głównie matematyczne podstawy

teorii względności Einsteina oraz jej zastosowania w kosmologii i astrofizyce. Doktorantami Sciama byli, między innymi, John Barrow, Brandon Carter, George Ellis, Stephen Hawking i Martin Rees.

Nina Sankari: Ateizm to postępowanie, ateści to konserwatyści. Większością organizacji nieateistycznych na świecie rządzą mężczyźni.

Sciama i Rees dowiedli w roku 1965, że bardzo odległe (czyli stare) kwazary są liczniejsze niż bliskie (czyli młode). Było to odkrycie o epokowym znaczeniu. Udowodniło, że Wszechświat podlega ewolucji, jako że dawniej był inny, niż jest teraz. W kosmologii spowodowało to zmianę paradygmatu: odrzucenie teorii Stanu Stacjonarnego i przyjęcie teorii Wielkiego Wybuchu. Najdonioślejsze odkrycia zespołu Sciama (uzyskane dzięki wprowadzeniu nowatorskich metod matematycznych do badania teorii Einsteina) dotyczyły zjawiających własności czarnych dziur. Penrose, który należał do kręgu Sciama (i zadeptykował mu swą monumentalną książkę), dowiódł – za co dostał Nobla – że z teorii Einsteina wynika, iż podczas katastrofalnego grawitacyjnego zapadania się materii powstaje osobliwość, podobna do opisanej wcześniej osobliwości Hawkinga-Ellisa, która była początkiem Wszechświata. Sciama i jego chłopcy z Cambridge (większość wtedy nie skończyła trzydziestki) sprawili, że czarne dziury stały się powszechnie znane, przeniknęły zarówno do wysokiej, jak i do masowej kultury.

Ponad 15 lat pracowałem w grupie Sciama – najpierw w Austin w Teksasie a później w Oksfordzie i Trieście. W Trieście przez kilka lat dzieliłem trzyosobową pracownię ze Sciama i włoskim fizykiem Nicolò Dallaportą, którego Primo Levi, serdeczny przyjaciel Dallaporty, uczynił bohaterem jednego z 21 rozdziałów swej słynnej książki „Układ Okresowy”. Obu, Dallaportę i Sciame, bardzo interesowały filozof

ficzne aspekty fizyki. Przysłuchiwałem się wielokrotnie ich pięknym, wyrafinowanym rozmowom, w naszej wspólnej pracowni, z której mieliśmy bezpośredni widok na elegancki, rozległy park, założony przez arcyksięcia Ferdinanda Maksymiliana Habsburga - Parco di Miramare.

Rozmowy ze Sciamą oraz z kolegami z jego kręgu ukształtowały moje poglądy na temat metafizycznych aspektów fizyki. A miałem się od kogo uczyć! Aż trzech doktorantów Sciamy dostało Nagrodę Templetona, przyznawaną za badanie związków religii i wiedzy: George Ellis w roku 2004, John Barrow w 2006 oraz Martin Rees w 2011. Ta prestiżowa nagroda wręczana w pałacu Buckingham została ustanowiona w roku 1972. Jej finansowa wartość przewyższa Nobla. Wśród jej laureatów jest aż sześciu noblistów, w tym fizyk Frank Wilczek z MIT.

Grzegorz Wysocki: Boniecki, Hołownia i inne /.../. Co mnie - jako ateistę - to wszystko obchodzi?

Za głupie gadanie i myślenie życzeniowe uważam powtarzanie, że gdyby wszyscy w Kościele byli tacy jak Boniecki, toby dopiero było cudownie i pięknie.

Z trzech laureatów Templetona należących do kręgu Sciamy Rees jest twardym ateistą, Barrow był praktykującym anglikaninem (zmarł w roku 2020), a George Ellis jest głęboko wierzącym kwakrem. Z Ellisem opublikowałem kilka artykułów na temat czarnych dziur oraz zamówiony przez redakcję „Nature” esej „The elusive anthropic principle”, poświęcony poglądom współczesnych fizyków na zagadkę antropicznego wyregulowania Wszechświata. (Z Georgem Ellisem napisałem też kilka fachowych prac dotyczących konkretnych problemów związanych z Einsteinowskim opisem oddziaływania materii i promieniowania w bardzo silnych polach grawitacyjnych).

Sciama mocno podkreślał, że każda możliwa kombinacja stałych fizyki musi koniecznie być realizowana w jakimś indywidualnym wszechświecie należącym do wieloświatu. Rzecz jasna niektóre kombinacje dopuszczają powstanie życia, świadomości i inteligencji, inne to wykluczają. My, ludzie, istniejemy w pewnym konkretnym Wszechświecie – tym mianowicie, w którym wartości wszystkich stałych fizyki mają przypadkiem akurat takie wartości, które dopuszczają istnienie gatunku *Homo sapiens*. Tę właśnie zupełnie przypadkową, bezcelową kombinację postrzegamy jako antropiczne wyregulowanie. Nasze istnienie jest jednak ontologicznie konieczne, ponieważ w wieloświecie taki przypadkowy, pozornie antropicznie wyregulowany, sprzyjający życiu „nasz wszechświat” na pewno musi istnieć – jako że w ogóle wszystkie logicznie możliwe wszechświaty istnieją tam koniecznie. Nasz byt jest więc bytem koniecznym, gwarantowanym przez naturę wieloświatu / wieloświata – red./: Bóg nie jest potrzebny jako przyczyna naszego istnienia. Rzecz jasna nasze istnienie jest wynikiem statystycznego przypadku; nie ma więc ani celu, ani sensu. Taki obraz pięknie się zgadza ze światopoglądem ateistycznym.

Mały ateista w oślej ławce. Jak religia segreguje dzieci w szkole.

Brandon Carter zauważył, że pytanie, dlaczego obserwujemy antropiczne wyregulowanie, ma zaskakującą odpowiedź: bo w niewyregulowanym wszechświecie, nie dopuszczającym inteligentnego życia, nie ma nikogo, kto mógłby niewyregulowanie stwierdzić. Tę konstatację zwykle nazywa się „słabą zasadą antropiczną”. Carter jest jednym z najbardziej cenionych znawców matematycznych podstaw teorii Einsteina. Poznałem niezwykle przymioty jego przenikliwego umysłu współpracując z nim oraz Jean-Pierre Lasotą nad wyrażeniem

teorii Einsteina w języku tak zwanej geometrii optycznej. Wielu uważa, iż jego najważniejsze osiągnięcie, dokonane w roku 1973 wspólnie z Jamesem Bardeenem i Stephenem Hawkingiem, dotyczyło czterech praw mechaniki czarnych dziur. Doprowadziło, dzięki kluczowej kontrybucji Jakoba Bekensteina oraz rozmowy Hawkinga z Jakowem Zeldowiczem w Moskwie, do wielkiego odkrycia Hawkinga, że czarne dziury promieniują.

Niewierzący nie może odrzucić krasnoludków

Dla każdego powinno być jasne, że w zgodzie z ateistyczną doktryną, po pierwsze – ani nasz Wszechświat, ani żaden inny nie może być wyróżniony, oraz po drugie – muszą istnieć wszystkie potencjalnie możliwe wszechświaty. Jakikolwiek bowiem wyróżnienie lub wykluczenie musiałoby oznaczać wybór dokonany przez byt od wieloświatu odrębny, względem niego zewnętrzny i jednocześnie mający o nim pełną wiedzę – czyli przez Boga. Każda ateistyczna wersja wieloświatu implikuje więc, że ponieważ Boga nie ma, to wszystkie logicznie niesprzeczne wszechświaty muszą istnieć koniecznie. Nie sposób nie zauważyć, że to koresponduje z moralną intuicją Fiodora Dostojewskiego, tak ujętą przez Iwana Karamazowa: „jeśli Boga nie ma, wszystko jest dozwolone”. Podkreślmy: zasada wszystko, co jest logicznie niesprzeczne, musi istnieć koniecznie w wieloświecie, wynika z wymagania, aby doktrynę ateizmu pogodzić z obserwowanym wyregulowaniem – nie z praw fizyki, choć nie jest z nimi sprzeczna.

Zasada ta prowadzi do paradoksów wystawiających na śmieszność ideę ateistycznego wieloświatu. Bowiem jeśli możliwe jest wszystko, to – na przykład – istnieć muszą wszechświaty, w których mieszkają krasnoludki, jako że istnienie krasnoludków nie przeczy logice. Dumnie i często powtarzana ateistyczna mantra „my nie wie-

rzymy w Boga, podobnie jak nie wierzymy w krasnoludki” świadczy o niekompetencji tych, którzy ją głoszą. Zgodnie z ateistyczną wersją wieloświatu mamy bowiem: {Boga nie ma} $\Rightarrow$ {istnieje wieloświat} $\Rightarrow$ {w wieloświecie istnieją wszystkie(!) logicznie niesprzeczne wszechświaty} $\Rightarrow$ {w jednym z nich muszą mieszkać krasnoludki}. Ja natomiast, jako wierzący w jedynego Boga, który stworzył jeden świat, nie muszę wierzyć w istnienie krasnoludków: bowiem ostrzem brzytwy Ockhama mogę odciąć je od Istnienia jako byty niekonieczne.

Ateista, przyjaciel bogów.

Idea ateistycznego wieloświatu jest niekompatybilna z nakazem brzytwy Ockhama, mnoży bowiem byty wprost absurdalnie rozrzutnie, ad infinitum. Policzmy: hipoteza, że Boża egzystencja jest przyczyną obserwowanego wyregulowania naszego Wszechświata, wymaga istnienia tylko dwóch bytów – bytu naszego Wszechświata i bytu Boga. Natomiast hipoteza wieloświatu w wersji ateistycznej postuluje istnienie bytu naszego Wszechświata oraz nieskończenie wielu bytów innych wszechświatów.

Fizyk ateista kontra Richard Dawkins

Najpoważniejszy problem, dotyczący każdej bez wyjątku wersji wieloświatu, polega jednak na czymś daleko bardziej serio niż krasnoludki. Wielu fizyków zauważa, sine ira et studio, że hipoteza wieloświatu jest fundamentalnie pozanaukowa, gdyż – podobnie jak w przypadku pozanaukowej hipotezy istnienia Boga – nie można dowieść ani jej prawdziwości, ani jej fałszywości. Fakt, iż teoria strun (sugerująca wieloświat) jest trudna, matematycznie piękna i pełna majestatu, nie przesądza sprawy. Wizje Pseudo-Dionizego Areopagity dotyczące hierarchii anielskich także są trudne do zrozumienia, piękne i jeszcze pełniejsze majestatu. Zarówno w pierwszym przypadku (wieloświat), jak i w drugim (Bóg) jedy-

nym uzasadnieniem jest osobista wiara, to znaczy subiektywne przekonanie, że przecież tak być musi, bo to jest oczywiste. Ale „oczywiste” znaczy tutaj „zgodne z moim widzimisię”. Jeśli ktoś się powołuje wyłącznie na „oczywistą oczywistość”, to zawsze ma myśli swoje prywatne widzimisię, czy rzecz dotyczy metafizyki, czy polityki.

Oto stosowna przypowieść:

– Dennisie – zagałęm pewnego dnia na spacerze w Parco di Miramare — zgadzasz się przecież, że hipoteza, iż Bóg stworzył świat, jest logicznie dozwolona. W takim razie w tym twoim wieloświecie, wśród tych twoich wielu wszechświatów powinny być także i takie, które zostały stworzone przez Boga.

Dennis nie okazał najmniejszego zaniepokojenia i od razu się zgodził: – Tak, każdy logicznie dopuszczalny wszechświat istnieje w wieloświecie. Niektóre są więc stworzone przez boga lub bogów.

– A skąd czerpiesz pewność, że to właśnie nasz Wszechświat nie jest akurat tym stworzonym przez Boga?

Dennis zatrzymał się gwałtownie i popatrzył na mnie, wyraźnie zdziwiony: – Ty chyba żartujesz...

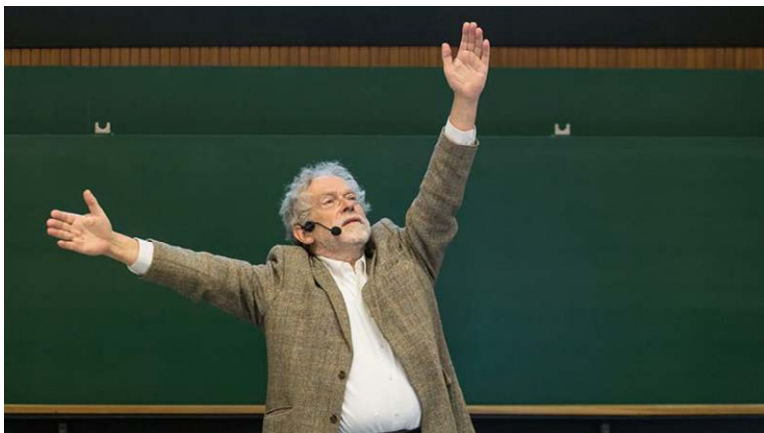
„Ty chyba żartujesz” jest, po odciedzeniu erystycznej ornamentyki, wszystkim, co zostaje z intelektualnej zawartości ateistycznych argumentów krytykujących wyjaśnienia powodów, dla których wierzący sądzą, że widzą w sobie i świecie możliwe oznaki Bożej obecności. Ale tylko nieliczni ateści szczerze przyznają, iż ich ateizm ma źródło w osobistych wyborach światopoglądowych, a nie w obiektywnej wiedzy. Wśród takich rzeczowych, obiektywnych ateistów chcę wymienić na pierwszym miejscu Stevena Weinberga i Martina Reesa.

Weinberg był wybitnym fizykiem, noblistą z roku 1979. Po wyjeździe z Princeton został profesorem na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Teksaskiego w Austin, gdzie

ja także wtedy przez dwa lata pracowałem. Weinberg nigdy nie twierdził, że fizyka dowodzi słuszności idei wieloświata. Przyznawał, iż akceptacja tej idei jest w jego przypadku sprawą osobistych preferencji: „Najbardziej odpowiada mi wyjaśnienie, że Wielki Wybuch, w którym powstał nasz Wszechświat, był zdarzeniem typowym w wiecznie trwającym wieloświecie – nie miał celu ani sensu. Nie trzeba zatem się zmagać z pytaniem Leibniza o przyczynę istnienia naszego Wszechświata. Nie ma takiej przyczyny. Istnienie Wszechświata jest zupełnie pozbawione sensu”. Podkreślałem kluczową frazę: „najbardziej odpowiada mi”.

Martin Rees (przypominam: wybitny uczony, prezydent Royal Society, twardy ateista) ujął meritum w wywiadzie dla „Guardiana” z 6 kwietnia 2011, w którym skrytykował rewelacje ateistycznego kaznodziei Richarda Dawkinsa: „Zajmowanie się nauką uświadomiło mi, że zrozumienie nawet najprostszych spraw jest zwykle bardzo trudne. To powoduje moją podejrzliwość wobec ludzi, którzy wierzą, że osiągnęli coś więcej niż tylko niepełne, metaforyczne zrozumienie jakichkolwiek głębokich aspektów rzeczywistości”. Nazwał Dawkinsa zawodowym ateistą i dodał, ostrzegając przed merytoryczną nierzetelnością wynikającą z ideologicznego zaślepienia: „Sądzę, że wszyscy jesteśmy zaniepokojeni fanatyzmem i fundamentalizmem oraz że potrzebujemy wszelkich sojuszników, których możemy zmobilizować przeciw takim postawom”.

Rees poruszył jeszcze jeden temat: są ateści, którzy krytykują wiarę w Boga, wyszydając metaforyczne opisy Bożych atrybutów. Podał jako przykład swego dobrego kolegę z Cambridge, Stephena Hawkinga, odmawiając mu (słusznie) teologicznych kompetencji – niemniej szydercza postawa Hawkinga jest dość powszechna. Tę postawę można przeciwstawić stanowisku wielu innych fizyków. Na przykład



Anton Zeilinger

Kepler, Newton i Einstein wierzyli w Boga szczerze i głęboko, ale każdy zupełnie inaczej. Inaczej także z powodu Bożych atrybutów, które rozumieli swoiście. Kepler był zafascynowany atrybutem Trójcy. Widział „obraz i podobieństwo” Trójcy Świętej w kosmicznym porządku świata. Świat musi być skończoną kulą, twierdził w przypływie mistycznego wizjonerstwa (które zwiodło go na manowce), bo tylko taka kula ma dokładnie trzy atrybuty – środek, wewnątrz i powierzchnię. Newton był zdecydowanym przeciwnikiem koncepcji Trójcy-dynego Boga, ale także, jak Kepler, wierzył w Boga osobowego. Einstein, który często mówił o Bogu, widział go podobnie jak Spinoza – wierzył, że Bóg i regularnie harmonijny świat przez Boga stworzony stanowią jedno. Natomiast nie wierzył, aby Bóg zajmował się losem i uczynkami ludzkości.

A co z trzecim z metafizycznych problemów fizyki, wymienionych na początku artykułu? Debatujący w Uppsali profesorowie poświęcili mu najmniej czasu, choć poruszyli kwestię najnowszych odkryć optyki kwantowej, za które Alain Aspect, John Clauser oraz Anton Zeilinger dostali tegorocznego Nobla. Chodzi o eksperymenty ze splątanymi fotonami, które dowiodły naruszenia nierówności Bella, co się każe zastanawiać nad pytaniem o rolę naszej wolnej woli oraz naszej swia-

domości w kształtowaniu świata materii. Anton Zeilinger mówi wręcz o konieczności porzucenia postawy naiwnego realizmu, zgodnie z którą świat istnieje sam z siebie, bez naszego udziału i niezależnie od naszych obserwacji.

O dziwacznych prawach mechaniki kwantowej opowiada guru kwantowej teleportacji - tegoroczny noblista z fizyki Anton Zeilinger.

Zrzędzeniem losu dzień wcześniej przeżyłem profesorskie wzruszenie właśnie a propos nierówności Bella. W przeddzień debaty w Uppsali miałem w sztokholmskiej Nordita standardowy wykład seminaryjny.

Mówiłem o pracy opublikowanej wspólnie z Michałem Bejgerem, Andrzejem Udalskim i Maćkiem Wielgusem kilka tygodni wcześniej w „The Astrophysical Journal Letters” (szerzej o tej pracy w przyszłotygodniowej, sylwestrowej „Wolnej Sobocie”). Wymyśliliśmy, jak obserwacyjnie udowodnić, że w ciemnej materii w naszej Galaktyce nie ma małych, pierwotnych czarnych dziur, które powstały tuż po Wielkim Wybuchu.

Temat przyciągnął sporą publiczność, ale jeszcze większa zaczęła się gromadzić pod koniec przedłużającej się dyskusji. Tłum studentów i najmłodszych asystentów wydziału fizyki uczestniczących w cyklu spotkań, jakie sami sobie zorganizowali

w ramach nieobowiązkowego samokształcenia, aby się nauczyć, punkt po punkcie, matematycznych podstaw prac, które doprowadziły do tegorocznego Nobla. Młoda Szwedka, pięknie skupiona i poważna, wyprowadzała na tablicy nierówność Bel-
la, a obecni w auli zadawali jej drobiazgo-
we pytania. Wszyscy chcieli wszystko do-
kładnie zrozumieć. I wszyscy zrozumie-
li. Wzruszyły mnie ich młodzieńczy en-
tuzjizm oraz wierność zasadzie, że tyl-
ko bezkompromisowo solidna praca może
przynieść rezultaty w studiowaniu fizyki.

*Teolog do ateistów: Mielicie swoją
szansę. Jedną, drugą, tysięczną. A ostatnie
słowo zawsze należy do Boga, który żyje,
a nie umarł.*

Wzorem debat oksfordzkich po deba-
cie w Uppsali głosowaliśmy nad pytaniem
podsumowującym jej wynik. Brzmiało:
Czy twoim zdaniem istnieją poważne po-
wody na to, by uznać, że Bóg istnieje? Od-
powiedzi „tak” było 56, prawie trzykrotnie
więcej niż „nie” – tych było tylko 20. Wy-
nik na pozór zaskakujący, ponieważ
Szwedzi są powszechnie uważani za
społeczeństwo bardzo zlaicyzowa-

ne. Ale ja nie byłem zaskoczony: wszyscy
głosujący należeli do wykształconych elit,
a wielu było fizykami z solidnego uniwer-
sytetu: Uppsala zajmuje 78. miejsce na li-
ście szanghajskiej.

Po debacie można było zostać w pa-
radnym hallu uniwersytetu na typowej
szwedzkiej kolacji, jakie zwykle kończą
podobne wydarzenia – elegancko poda-
nej, skromnej, z banalnie standardową li-
stą win: Champagne, Bourgogne, Borde-
aux. Rzecz jasna, jak to zawsze tutaj, wszy-
scy płacili prywatnie, podobnie jak za bile-
ty na udział w debacie. Wcale nie mało, ale
studenci mieli znaczną zniżkę. □

*W artykule cytuję kilka fragmentów
przygotowywanej do druku przez Wydawn-
ictwo Literackie mojej książki „Metafi-
zyczne przygody roztargnionego profe-
sora”. Dziękuję redakcji Wydawnictwa za
zgodę na publikację tych fragmentów już
teraz. Książka ukaże się zapewne jesienią
2023.*

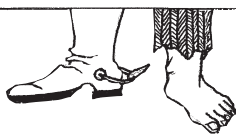
*Marek Abramowicz – astrofizyk,
pracuje na Uniwersytecie
w Göteborgu, w Centrum Kopernika
PAN w Warszawie i Uniwersytecie
Śląskim w czeskiej Opawie.*



POCZĄTEK

Hector Berlioz – kompozytor epoki romantyzmu, autor oper
i symfonii, między innymi: *Symfonii fantastycznej*, *Potępienie
Fausta* – leżąc na łożu śmierci, uśmiechnął się tajemniczo do
jednego ze swoich przyjaciół i powiedział:

– Nareszcie, mój przyjacielu! Teraz dopiero będę grać moje
utwory.



TIMEO DANAOS, JĄDRO CIEMNOŚCI

Amerykanom chyba udało się spontanicznienakręcićtakibardzoosobistyremake Czasu apokalipsy”, tyle, że „jądrem ciemności” stał się Waszyngton, a rolę odgrywaną przez Marlona Brando zawłaszczyl Donald Tramp. W pułkownika Kilgore’a z zapalem wcielił się Elon Musk, który być może ruszy niedługo na podbój Skandynawii, gdzie (w Norwegii) pechowi właściciele pojazdów Tesli (model S) wygrali proces z firmą i czekają na odszkodowania za zainstalowanie aplikacji spowalniającej proces ładowania baterii. W dodatku związkowcy Szwecji, Norwegii i Danii są w sporze z Teslą, bo ta utrudnia działanie organizacji związkowych. Poparcie dla skandynawskich związków ogłosiła nawet Komisja Krajowa NSZZ Solidarność. Czego się po nich nie spodziewałem.

Walka ze związkami zawodowymi to powszechna praktyka w amerykańskich firmach i Tesla nie jest tu wyjątkiem. Dotąd jednak panował zwyczaj, że podobnie jak w fabrykach firm europejskich na terenie USA, dość niechętnie patrzy się na

zakładanie związków zawodowych, tak w amerykańskich fabrykach w Europie raczej ze związkami się nie walczy. Musk natomiast postanowił w Europie pójść na całość. Na razie idzie mu nie najlepiej. Od ubiegłego roku sprzedaż Tesli w Europie dramatycznie spadła i nie jest to tylko wynik ofensywy producentów elektryków z Chin. Modne wśród właścicieli Tesli staje się naklejanie na auta karteczek z napisem: „Kupiłem ją (Teslę), kiedy Musk jeszcze nie był oszalał”. Z przykrością muszę właścicielom Tesli donieść, że Elon zawsze „taki” był.

Niestety Tesla to nie najważniejszy interes Muska. Większe znaczenie ma Space X. Musk zagroził, że odetnie Ukrainę od Starlinków. Problem w tym, że to „polskie” satelity, które nasz rząd udostępnił Ukrainie. Nabywcy Starlinków dowiedzieli się przy okazji, że nawet jeśli płacą abonament, nie mogą mieć pewności, że urządzenia będą działać.

Być może spełnią się obawy tych, którzy lękają się kontroli i dominacji jakie-



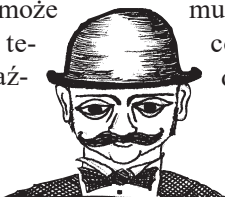
Czarna dziura to obszar czasoprzestrzeni, z którego nic, nawet światło, nie może się wydostać

gość obcego suwerena, tyle, że tym suwerenem nie musi być obcy rząd, ale firma zarządzana przez żadnego władzy socjopatę. Komediowe science fiction klasy „B” zdaje się przypominać rzeczywistość, w której od lat nieświadomie żyjemy. Teraz, gdy jesteśmy świadkami sojuszu socjopatów biznesu i polityki, kontrola może się stać pełna.

W polityce pewna ciągłość władzy, celów i interesów uchodzi zwykle za naturalną. To właśnie się skończyło. Administracja Trumpa tę ciągłość zrywa. Nic już nie jest pewne, a wszystko jest możliwe. Liczy się tylko siła. Chwilowo siła jest w dyspozycji Trumpa. Gdy jednak do każdego dotrze, że wszystko jest względne i wszystko jest dozwolone, może się to obrócić przeciwko dysponentom siły, ale też przeciwko wszystkim. W tego rodzaju chaosie nie zawsze zwyciężają najsilniejsi, częściej ci najbardziej bezwzględni. Choć może ten chaos istniał już wcześniej, a teraz tylko zobaczyliśmy go wyraźniej.

Trumpowi poniekąd należy się wdzięczność za ten seans terapeutyczny. Ujrzelśmy prawdziwą twarz amerykańskich elit, pogardzających wszystkimi i wszystkim. Imperium Brytyjskie w czasach swojego największego rozkwitu, czyli tuż przed upadkiem, twierdziło ustami Henry’ego Temple’a, że Brytania nie ma przyjaciół ma tylko interesy. USA Trumpa są karykaturą Imperium Brytyjskiego, z tym, że to interesy Trumpa stały się wyłącznymi interesami USA. I nie są wieczne. Ci, którzy jakoby cieszą się poparciem Trumpa/Muska, przypominają amerykańskie indyki przed Świętami dziękczynienia. U Trumpa jednak nie będzie żadnego ulaskawienia. Wszyscy mogą być pożarci.

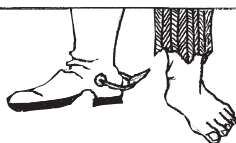
Można jedynie mieć nadzieję, że Trumpowi nie uda się po czterech latach przekazać karłującego imperium żadnemu ze swoich potencjalnych następców. Ale zmiana na gorsze już się dokonała. □



MEDYCZNA SPRAWIEDLIWOŚĆ

Pewnego razu wezwano lekarza paryskiego Moreau do króla Ludwika XV, aby mu opatrzył nogę, zranioną w czasie polowania.

- Spodziewam się – rzekł król – że będzie pan inaczej postępował w leczeniu mojej nogi, niż pan to czyni z innymi chorymi.
- Przykro mi, ale to nie możliwe.
- A to dlaczego? – zapytał zdziwiony władca.
- Ponieważ o wszystkich moich chorych troszczę się tak, jakby byli królami.



BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

OD SUROWIECKIEGO DO KRAJSKIEGO – CZYLI RZECZ O MASONOŻERCACH

W 1805 roku ukazało się spolszczenie rozprawy *Mémoires pour servir à l'histoire du Jacobinisme*, autorstwa francuskiego księdza Augustyna Barruela (1741-1820), zacieklego wroga masonerii. Książka ta stała się na całe lata biblią nie tylko nieprzyjaciół masonerii, ale i wszystkich konserwatystów zaniepokojonych ideami modernizacji społecznej i politycznej. Polskie wydanie wyszło w Warszawie pod zmienionym tytułem *Święte tajemnice Massonii*, choć dla zmylenia cenzury na karcie tytułowej podano Lwów. Inicjatorem i autorem polskiej wersji był Karol Surowiecki (1754-1824).

Była to pierwsza w języku polskim obszerna i powszechnie dostępna (jak na ówczesne czasy) publikacja zaciekle atakująca wolnomularstwo, a rok jej wydania można symbolicznie uznać za początek polskiego antymasonizmu.

Karol Surowiecki to jeden z głównych zawziętych polskich antagonistów masonerii z przełomu XVIII/XIX w. Nie będzie błędem, jeśli nazwie się go prekursorem nieprzejednanej i trwającej z różnym nasileniem do dnia dzisiejszego walki polskich środowisk klerykalnych i prawicowo-konserwatywnych z wolnomularstwem.

Wykształcenie zdobywał w szkołach w Poznaniu. W 1768 roku wstąpił do zakonu franciszkanów. Z czasem jednak bardziej zainteresowała go działalność zakonu reformatów i w 1786 roku zmienił zakon. Początkowo był kaznodzieją w Kaliszu, jednak po dwóch latach przez władze

zakonne został przeniesiony do Warszawy. Tu rozwinął swoją działalność publicystyczną, poświęconą zwalczaniu nie tylko masonerii, ale i wszelkiemu postępowi i rodzącemu się liberalizmowi. Jego prace były wydawane często bezimiennie oraz bez daty i miejsca wydania. Polemizował w nich m.in. z wolterianizmem i jakobinizmem. Kiedy w 1820 Stanisław Kostka Potocki opublikował swoją powieść – traktat *Podróż do Ciemnogrodu* – Surowiecki ostro go zaatakował, co poskutkowało interwencją biskupów polskich u cara Aleksandra I i dymisją Potockiego ze stanowiska ministra w Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Królestwa Polskiego.

Przeciwnikiem masonerii był również żyjący w XVIII ksiądz Stefan Łuski (1725-1793) jezuita i publicysta. Był matematykiem i fizykiem, w swoim czasie uważanym za jedną z najlepiej wykształconych osób w ówczesnej Rzeczypospolitej. Po kasacie zakonu jezuitów został wydawcą prasy. Najbardziej znanym tytułem była „Gazeta Warszawska”, kierowana przez niego w latach 1773-1793. Tytuł ten zrosł się nierozdzielnie z jego nazwiskiem, stając się jednocześnie długotrwałym symbolem wsteczności i religijnego obskurantyzmu, wypartym dopiero przez międzywojenny „Mały Dziennik”, a współcześnie przez „Nasz Dziennik”, Radio Maryja i Telewizję Trwam. Za cel swojej wydawniczej misji Łuski uznawał przede wszystkim walkę z prądami oświeceniowymi, w tym

z „farmazonami” (masonami). W nich to upatrywał przyczyny powszechnego upadku moralności i obyczajów. Do najbardziej znienawidzonych przez duchownego postaci należeli Wolter, Jean-Jacques Rousseau, Benjamin Franklin czy reformator Portugalii Sebastiano José de Pombal. Wśród polskich „oświeconych” szczególną irytację Łuskiny – wobec niemożności ataku na osobę króla – budzili redaktorzy „Gazety Narodowej i Obcej”, na czele z wolnomularzem Julianem Ursynem Niemcewiczem. Nie dość, że popierali reformy i sympatyzowali z rewolucyjną Francją, to jeszcze byli jego konkurentami na ówczesnym prasowym rynku wydawniczym.

Łuskina był zwolennikiem konfederacji targowickiej i wielbicielem Katarzyny II. W niej to upatrywał osobę opatrznosciową, która reaktywuje zakon jezuitów. Caryca bowiem nie uznała decyzji papieża Klemensa XIV z 1773 i na ziemiach polskich zagarniętych przez Rosję po I rozbiorze zakonu nie skasowała.

Po roku 1821, kiedy to car Aleksander I zawiesił na czas nieograniczony działalność łóż wolnomularskich w Królestwie Polskim, zanikł a raczej mocno się uspił i polski antymasonizm.

Jego renesans nastąpił pod koniec XIX w. m.in. dzięki aferze związanej z działalnością we Francji Léo Taxila (1854-1907) dziennikarza i publicysty, a jednocześnie oszusta, fantasty, hochsztaplera i prowokatora.

Taxil, a właściwie Marie Joseph Gabriel Antoine Jogand Pagès, *bo takie było jego prawdziwe nazwisko*, to dzisiaj postać szerzej znana jedynie wolnomularzom i nielicznym historykom. Unieśmiertelnił go Umberto Eco, czyniąc jednym z bohaterów powieści *Cmentarz w Pradze* z 2010 roku (pierwsze polskie wydanie 2011).

Początkowo Taxil był zagorzałym antyklerykałem, by następnie stać się bogobojnym katolikiem. Krótko był wolnomularzem, został jednak szybko usunięty za zjadliwy antyklerykalizm, gdyż ówczesna



Józef Sebastian Pelczar

sna francuska masoneria dbała o zachowanie światopoglądowej neutralności. Moment swojego nawrócenia i antymasońskiej krucjaty wybrał znakomity – kilka dni po ogłoszeniu w 1884 przez papieża Leona XIII encykliki *Humanum genus*, potępiającej ruchy wolnomyślicielskie, a głównie wolnomularstwo. W latach 1885-1894 opublikował kilka książek, w których kreślił fantastyczny i zmyślony obraz obejmującej cały świat hierarchii łóżowej, niemoralnych misteriów wolnomularskich i wolnomularskiego kultu szatana, wymyślając tzw. „Zakon Palladiański” z siedzibą w Charleston w Stanach Zjednoczonych. Jego nawrócenie i działalność antymasońska była na tyle przekonująca, iż dostąpił audiencji u papieża Leona XIII i uzyskał od niego błogosławieństwo. Został też powołany w roli eksperta na kongresie antymasońskim, który odbył się w 1896 w Trydencie.

W kwietniu 1897 na zwołanej przez siebie konferencji prasowej odwołał wszystko, stwierdzając, iż nie było i nie ma żadnego spisku masońskiego ani masońskiego kultu szatana, a wszystko to co w tej kwestii robił i pisał było oszustwem, błagą, żartem i prowokacją. Antymasońska działalność Taxila nie była również bezinteresowna, przez



Stanisław Antoni Wotowski

kilkanaście lat pracy dla kościoła zarobił na tym dwa miliony franków.

Mimo przyznania się do oszustwa czar-na legenda masonerii stworzona przez niego w wielu środowiskach skrajnie konserwatywnych i klerykalnych do dnia dzisiejszego ma się dobrze.

Polską admiratorką Taxila, a szczególnie popularyzowanego przez niego wizerunku masonerii jako organizacji satanistycznej, była Feliksa Eger (1837-1908).

Eger była bibliotekarką w Muzeum Pałacu Króla Jana III Sobieskiego w Wilanowie. Od połowy lat 80. XIX w. uprawiała (początkowo anonimowo) publicystykę antymasońską i antysemitką, propagując teorię spiskową o międzynarodowym spisku masońsko-żydowskim. W ostatnich latach XIX w. przeniosła się do Zakopanego, gdzie prowadziła pensjonat. Tam też zmarła, została pochowana jako jedna z pierwszych na Nowym Cmentarzu (na Palenicy, pod Gubałówką), lecz jej grób nie zachował się do obecnych czasów.

W 1894 opublikowała w wydawnictwie Anczyca w Krakowie *Historię towarzystw tajnych. Dzieje wolnomularstwa (Maso-*

nii) według najlepszych źródeł opracowane. Dziełko to uchodziło współcześnie za najbardziej wyczerpującą polską publikację o masonach i doczekało się licznych wznowień praktycznie do dnia dzisiejszego. W pracy tej czerpała obficie z książek jezuita i propagatora teorii spiskowych Nicolasa Deschamps (1797-1873) oraz wspomnianego wyżej Barruela. Za nimi powieliła pogląd, iż celem masonów, którzy stoją za przemianami społecznymi i rewolucjami, zapoczątkowanymi przez Oświecenie, jest zniszczenie chrześcijaństwa przez świecką edukację. Uznała socjalizm i komunizm za masoński wymysł, a materializm masoński utożsamiała z satanizmem. Przypisała kierowniczą rolę w organizacji wolnomularskiej Żydom, którzy jakoby od wieków mieli za zadanie w tajnych organizacjach spiskować przeciwko kościołowi katolickiemu.

W innej pracy, *Kilku słowach o masonerii*, ogłoszonych nakładem Katolickiego Towarzystwa Wydawniczego „Kronika Rodzinna” w 1901, ostrzegała przed dążeniem masonerii do utworzenia rządu światowego. Jako rezultat powszechnego spisku wolnomularskiego wskazała – obok rewolucji francuskiej – zjednoczenie Włoch i Niemiec i z tego też względu uznała masonerię jako największego wroga religii rzymsko-katolickiej i narodu polskiego.

Wizerunek masonerii jako organizacji satanistycznej opartej na tajnej hierarchii przedstawiła w swojej ostatniej książce *Żydzi i masoni we wspólnej pracy*, którą wydała w 1908. To właśnie tu wykorzystała kłamliwe enuncjacje Léo Taxila na temat wolnomularstwa, a zgodnie z tezą upowszechnioną przez *Protokoły mędrców Syjonu* (1903) przypisała Żydom sprawowanie władzy finansowej, a masonom, w ich imieniu, kontroli polityczno-militarnej nad światem.

Zwolennikiem teorii o negatywnym wpływie masonów na losy Polski był historyk, działacz i teoretyk konserwatyzmu, zwolennik Narodowej Demokracji

Kazimierz Marian Dzierżykraj-Morawski (1884-1944), w młodości związany z krakowskimi Stańczykami. W 1915 wyjechał do Szwajcarii, gdzie nawiązał współpracę z ruchem endeckim – wszedł do Zarządu Centralnej Agencji Polskiej (Agencji Lożańskiej). Po powrocie do Polski przez krótki czas był radcą i chargé d'affaires polskiego poselstwa w Rumunii. Przez jakiś czas pełnił stanowisko dyrektora w prywatnej, półurzędowej agencji prasowej, działającej pod nazwą „Agencja Wschodnia”. Działał w Akcji Katolickiej, w 1929 został członkiem Zarządu Głównego Związku Polskiej Inteligencji Katolickiej i współzałożycielem sekcji dziennikarskiej Zjednoczenia Polskich Pisarzy Katolickich.

Dzierżykraj-Morawski był autorem kilku opracowań historycznych, były to m.in. *Pogląd na opozycję magnacką między pierwszym rozbiorem a Sejmem Czteroletnim* 1908; *Ignacy Potocki. Cz. 1 (1750-1788)* 1911; *Ze studiów nad epoką saską* 1913, *Monarchistom spod znaku pułkownika Sławka* 1927, *Na marginesie polemiki z Boyem* 1929, *Król i dyktator* 1930, *Kraków przed trzydziestu laty* 1932, *Od Stambułu do Golgoty* 1938.

W 1935 z inicjatywy kardynała Hłonda wydał opracowanie *Źródła rozbioru Polski. Studia i szkice z ery Sasów i Stanisławów*, w której to zaprezentował swoją autorską tezę o inspiratorskiej roli wolnomularzy w rozbiorach Polski. Książka spotkała się z ironiczną ripostą wybitnego znawcy dziejów XVIII w., również endeka, Władysława Konopczyńskiego, który na wydumanych teoriach Morawskiego nie pozostawił suchej nitki.

Pod koniec lat 30. XX w. Dzierżykraj-Morawski skoncentrował się całkowicie na walce z masonerią. Był jednym z inicjatorów, zwołanego w czerwcu 1938 w Warszawie Zjazdu Prasy Polskiej, którego rezultatem stało się utworzenie „Agencji Antymasońskiej”. Agencja miała za zadanie informowanie opinii publicznej o celach



Kazimierz Maria Dzierżykraj-Morawski

i działaniach tajnych związków, głównie wolnomularstwa. Oprócz Morawskiego w jej kierownictwie zasiadali filozof i ideolog narodowo-mesjanistyczny Jerzy Braun (1901-1975); poseł Wacław Budzyński (1891-1939) oraz Helena Duninówna (1888-1971), pisarka książek dla dzieci oraz książek wspomnieniowo-eseistycznych, poetka, nauczycielka, działaczka oświatowa. „Agencja Antymasońska” wydała 6 numerów „Biuletynu Antymasońskiego” pod redakcją Morawskiego oraz dwie książki: A. G. Michela *Państwo w okowach masonerii* oraz Morawskiego i Włodzimierza Moszczyńskiego *Co to jest masoneria*. Oba tytuły wyszły w 1939. Sam Morawski w 1936 wydał jako Bolesław Chelmiński pracę *Masoneria w Polsce współczesnej*.

We wszystkich tych publikacjach była postawiona teza o masonerii jako instytucji żydowskiej, której programem politycznym jest zniszczenie narodów i państw katolickich i powstanie na ich miejscu Demokratycznej Republiki Światowej. Podkreślano w nich również dążenia masonerii do opanowania organizmów państwa we wszystkich jego obszarach, a szczególnie w szkolnictwie, gdzie celem miało być ukształtowanie „nowego człowieka przyszłości”.

Na przełomie XIX i XX w oraz w okresie dwudziestolecia międzywojennego nie zabrakło oczywiście przeciwników maso-

nerii wśród duchowieństwa rzymsko-katolickiego. Tu na czoło wysuwają się dwie postaci Józef Sebastian Pelczar (1842-1924) oraz Maksymilian Maria Kolbe (1894-1941).

Pelczar, późniejszy biskup przemyski, pochodził z zamożnej chłopskiej rodziny z Podkarpacia, którą stać było, by posłać syna do szkół. Edukację rozpoczął w swoim rodzinnym miasteczku (dziś wsi) Korczyn koło Krosna, a następnie kontynuował naukę w gimnazjum w Rzeszowie i Przemyślu. Ucząc się w przemyskim gimnazjum zamieszkał w gmachu tamtejszego seminarium duchownego. Po ukończeniu szóstej klasy zamierzał tam właśnie wstąpić, nastąpiło to jednak dopiero po uzyskaniu świadectwa dojrzałości (bo taki był wymóg) i w latach 1860-1864 odbył studia teologiczne w Wyższym Seminarium Duchownym w Przemyślu.

Pelczar nie od razu uznał że jego przeznaczeniem jest stan duchowny, skłaniał się raczej – odznaczając się wręcz znakomitą pamięcią faktograficzną – ku profesji historyka. Zresztą zainteresowanie historią wykazał w późniejszym okresie w wielu swoich opublikowanych tekstach.

Po ukończeniu seminarium krótko pracował jako wikary w Samborze, by następnie podjąć studia w Rzymie (teologię i prawo). W Rzymie zbliżył się do zakonu Zmartwychwstańców (Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego), a tu przypomnę (o czym szerzej pisałem w 104 FMW), że wśród 5 osób, które założyły to zgromadzenie w 1842 r., trzy miały za sobą krótszy lub dłuższy staż w łóżach wolnomularskich.

Po powrocie z Rzymu wrócił do Przemyśla, gdzie liczył na etat w seminarium duchownym. Tak się jednak od razu nie stało, został bowiem ponownie wysłany jako wikariusz i dopiero po pewnym czasie uzyskał funkcję prefekta w tamtejszym seminarium.

W 1877 cesarz Franciszek Józef podpisał jego nominację na profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, jednak wbrew swym

nadziejom Pelczar nie otrzymał katedry teologii, ale nowo utworzoną katedrę historii kościoła i prawa kościelnego. Z Uniwersytetem związał się na kilkanaście lat, gdzie z czasem osiągnął wszystkie istotne godności (1880-1881 – prorektor; 1882-1883 – rektor, 1884 – 1885 dziekan, 1890-1891 prodziekan Wydziału Teologicznego. W latach 1883-1899 był też prezesem Towarzystwa Oświaty Ludowej – wpływowej instytucji edukacyjnej. Zasiadał w Sejmie Krajowym w V kadencji (1882), VII kadencji (1900-1901) oraz nieprzerwanie od VIII do X kadencji (1901-1914).

W owym czasie krakowskie środowisko kościelne nawiedzały nieustanne wojny stronnictw, dręczyły je niesnaski, wzajemne pomówienia, intrygi i awantury publiczne. Co prawda, Józef Sebastian Pelczar oficjalnie się od nich dystansował, jednak w rzeczywistości nie stał tak całkowicie na uboczu, bowiem jego celem był awans w hierarchii i uzyskanie sakry biskupiej.

W tym czasie dał się też poznać jako niestrudzony bojownik frontu ideologicznego w walce z liberalizmem i rodzącym się wówczas ruchem socjalistycznym.

Podczas pobytu w Krakowie Pelczar był założycielem dwóch instytucji kościelnych. Było to towarzystwo dobroczynne, zarządzane przez krakowskich arystokratów i wyższych duchownych, gdzie walkę z nędzą prowadzono głównie przez nauki religijne i moralne, kazania i nabożeństwa. Założono również przytuliska dla osób pozbawionych pracy. Albert Chmielowski owe przytuliska opisał jako dno ludzkiego piekła i siedliska wszelkiej degeneracji i upadku. Drugą instytucją kościelną, do której przyłożył rękę, było utworzenie zakonu żeńskiego Zgromadzenia Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego.

Usilne starania Pelczara o sakrę biskupią zakończyły się pozytywnie w 1899, gdy został mianowany biskupem diecezji przemyskiej. Funkcję tę pełnił do swojej śmierci w 1924 roku.

Pelczar pozostawił po sobie ogromny dorobek pisarski, setki tekstów drukowanych, dziesiątki rękopisów i to z najrozmaitszych dziedzin. Spośród nich nie zabrakło tekstów, w których krytycznie, wręcz wrogo odnosił się do wolnomularstwa. Można tu wymienić np. wydane w 1890 dziełko *Revolucja francuska wobec religii*, w którym oczywiście obwinił masonerię o doprowadzenie do rewolucji francuskiej i obalenie starego porządku, czy najbardziej znana antymasońska jego publikacja, po raz pierwszy wydana w Przemyśle w 1905 (pod pseudonimem J. S. Korczyński) *Masoneria: jej początek, organizacja, ceremoniał, zasady i działania*, która jeszcze za życia autora miała swoje rozszerzone wydania (m.in. Lwów 1909 czy Kraków 1914). Publikacja ta, pełna przekłamań i wizji masonerii jako wszelkiego zła, której celem jest zdobycie władzy nad światem, jest do dnia dzisiejszego wznawiana w różnych wydawnictwach katolickich i reklamowana jako najdoskonalsze opracowanie poświęcone masonerii, które wyszło spod pióra polskiego autora.

Kiedy przyjrzymy się jednak datom wydania książek i tekstów Pelczara, to zauważymy, że ogromna większość z nich została niejako „zawieszona” wraz ze śmiercią autora i dopiero po kilkudziesięciu latach niektóre wróciły okazjonalnie, gdy rozpoczęła się jego droga na ołtarze (beatyfikacja 1991, kanonizacja 2003). Można z tego wysnuć wniosek, iż jego pisarstwo najwyraźniej nie stanowi w polskim kościele trwałej wartości intelektualnej, czy nawet religijnej. Jest tylko i jedynie produktem swojego czasu.

Maksymilian Maria Kolbe co prawda nie pozostawił po sobie książki dotyczącej Sztuki Królewskiej, ale swój niechętny i wrogi do niej stosunek zawarł w wielu artykułach publikowanych w swoich licznych wydawnictwach. Najwięcej takich tekstów można znaleźć w wydawanym od 1935 „Małym Dzienniku” – najbardziej klerykalnym, nacjonalistycznym i antyse-



Stanisław Krajski

mickim czasopiśmie które wydawał. Pismo to dzięki temu, że było tanie (cena egzemplarza wynosiła 5 gr i miało ogromny, ponad 100000 nakład), docierało do masowego odbiorcy.

Kolbe po raz pierwszy zetknął się z wolnomularstwem podczas swojego pobytu w Rzymie w 1917 roku. W ówczesnych Włoszech masoneria była silna, bardzo antyklerykalna i dosyć wpływowa, uważała się za spadkobierców i kontynuatorów idei ojców zjednoczenia Włoch – wolnomularzy Giuseppe Garibaldiego i Giuseppe Mazziniego. Jako że w roku 1917 przypadało 200-lecie Wolnomularstwa (1717 Wielka Loża Londynu), to z tej okazji włoscy masoni zorganizowali uroczystości w Rzymie, których kulminacją była wielka demonstracja, na której pojawił się m.in. czarny sztandar zwolenników zamordowanego przez kościół katolicki Giordana Bruna, przedstawiający postać Archaniola Michała w szponach Lucyfera i powalonego na ziemię, a na jednym z transparentów widniał napis „Szatan musi zapanować w Watykanie, a papież będzie jego sługą”. Demonstracja wywarła ponoć ogromne wrażenie na młodym Kolbem i przyczyniła się do tego, że już zawsze kojarzył wolnomularstwo ze wszelkim złem i uważał je za najbardziej niebezpieczną organizację, której celem jest nie tylko władza nad światem, ale przede wszystkim zniszczenie katolicyzmu. Aby się temu przeciwstawić wpadł wówczas na pomysł, by założyć wśród kleryków rzymskiego semina-

rium, gdzie studiował, organizację „Rycerstwo Niepokalanej”, której jednym z celów miało być przeciwstawienie się szatańskiej, antykatolickiej masonerii.

W całej swojej antymasońskiej publicystyce Kolbe walczył jednak ze strukturą, a nie z poszczególnymi wolnomularzami. Masonów uważał za ludzi nieszczęśliwych, bo działających w organizacji skierowanej przeciw Bogu, a przynależność do wolnomularstwa za przejaw głupoty i bezmyślności. Nigdy nie zaatakował żadnego wolnomularza personalnie, a nawet – jak pisze w jednym ze swoich tekstów historyk i badacz masonerii Norbert Wójtowicz – złożył wizytę w październiku 1928 w mieszkaniu Andrzeja Struga, wówczas jednego z najważniejszych dostojników polskiej masonerii. Nie znamy, niestety, ani powodów ani szczegółów tej wizyty.

Temat wolnomularstwa jako organizacji złowrogiej i zagrażającej porządkowi „bożemu” podejmowali również m.in. Stanisław Antoni Wotowski (1895-1939?), Mieczysław Skrudlik (1887-1941) czy Ignacy Oksza-Grabowski (1866-1933).

Wotowski, niegdyś policjant a następnie prywatny detektyw, od połowy lat 20 zajął się pisaniem powieści kryminalnych i tzw. kryminalno-salonowych (ich akcja toczyła się wśród wyższych sfer). W swojej twórczości podejmował także tematykę dotyczącą magii, zjawisk nadprzyrodzonych i okultyzmu. Najczęściej były to krótkie formy będące spisnymi wykładami, z którymi jeździł po kraju i które cieszyły się sporą popularnością. Łącznie dorobek Wotowskiego obejmuje ok. 40 powieści. W międzywojniu był bardzo popularnym pisarzem – jego książki miały wiele wydań i wysokie nakłady, a jedna – *Rycerze mroku* – została w 1932 zekranizowana. Po II wojnie nie był wznawiany, praktycznie został zapomniany. Od 2012 niektóre jego tytuły ukazują się w ramach serii „Kryminały przedwojennej Warszawy” i „Polski kryminał retro”.

W 1926 wydał książkę dotyczącą wolnomularstwa *Tajemnice masonerii i masonów*. Dziełko to zawiera, co prawda, opis niektórych rytuałów masońskich (można przypuszczać, iż korzystał z książki ks. Stanisława Załęskiego *O masonii w Polsce od 1742 do 1822*, I wyd. 1889, II wyd. 1908, praktycznie wówczas jedyne powszechnie dostępne źródło, gdzie zainteresowany mógł znaleźć w miarę rzetelny taki opis). Książka jednak nie odbiega od wymienionych wyżej antymasońskich wydawnictw, powielając kłamliwe stereotypy związków masonerii z kultem Szatana i jej powiązań z międzynarodowym spiskiem żydowskim.

Mieczysław Skrudlik był z wykształcenia historykiem sztuki, pracował m.in. w Centralnej Komisji Ochrony Zabytków Sztuki w Wiedniu. Po wybuchu wojny początkowo wstąpił do Legionów, by po utworzeniu 5.11.1916 Królestwa Polskiego wstąpić do Polnische Wehrmacht. Przynależność do tej organizacji wojskowej łączył z pracą urzędniczą w ministerstwie spraw wewnętrznych, podległym Radzie Regencyjnej. W listopadzie 1918 automatycznie został przeniesiony do Wojska Polskiego. W połowie stycznia 1919, za udział w przygotowaniach zamachu Januszajtisa, został wydalony z ministerstwa. W maju tegoż roku został aresztowany na cztery miesiące pod zarzutem udziału w spisku przygotowującym usunięcie Józefa Piłsudskiego ze stanowiska Naczelnika Państwa i w zamachu na jego życie. W styczniu 1922 został ponownie aresztowany, pozbawiony dystynkcji oficerskich i postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem zdrady stanu, szpiegostwa i fałszerstwa dokumentów. Ostatecznie sąd uniewinnił go z zarzutu fałszerstwa i szpiegostwa, skazując go na dwa lata więzienia za nadużycie władzy i ukrywanie osoby poszukiwanej; jednocześnie do czasu uprawomocnienia wyroku zwolnił go z więzienia za kaucją. Skrudlik odwołał się od tego wyroku, ale – jak podaje Marta Knapikowa, autorka jego biogra-

mu w *Polskim Słowniku Biograficznym* – dalszego ciągu procesu nie udało się ustalić. Sam Skrudlik całą tę sprawę opisał w wydanej w 1923 broszurze *Sprawa Skrudlika*.

Po 1923 roku próbował wrócić do zawodu historyka sztuki wydając kilka prac dotyczących przedstawień Matki Boskiej w polskiej sztuce. Z czasem jednak poświęcił się wyłącznie publicystyce – zwalczał wolnomysłicielstwo, sekciarstwo i głównie masonerię, którą upatrywał jako największe zagrożenie dla kościoła, państwa i narodu polskiego. Zagadnienia te omawiał m.in. w takich broszurach jak *Z tajemnic masonerii* 1927, *Sekty żydujące w Polsce* 1927, *Agentury obce* 1929, *Bezbożnicy polscy* 1932, *Masoneria w Polsce* 1935, *Początek formularza*. Podawał tu nazwiska masonów mających wpływ na życie polityczne i społeczne, podkreślał udział Żydów w tych organizacjach, ostrzegał przed bolszewizmem, który według niego maso ni propagowali.

Publikował w prasie endeckiej i chadeckiej oraz niezależnych pismach katolickich, m.in. „Gazecie Warszawskiej”, w „Polaku-Katoliku”, „Szczerbcu”, „Rodzinie Polskiej”, „Przeglądzie Katolickim”; tam również podejmował tematy związane z masonerią, sekciarstwem czy bolszewizmem. Pisywał też o dawnej sztuce polskiej (szczególnie o malarstwie religijnym), podejmował zagadnienia konserwacji, renowacji zabytków i zespołów zabytkowych, jak też interesował się teatrem – recenzował sztuki teatralne. Aktywnie działał w sekcji dziennikarskiej utworzonego w 1932 Zjednoczenia Pisarzy Katolickich.

Ignacy Oksza Grabowski był dramatopisarzem i nowelistą, należał do czołowych publicystów „Kuriera Warszawskiego”, „Tygodnika Ilustrowanego” czy „Myśli Narodowej”. Jeszcze w okresie studiów nawiązał kontakty z nacjonalistyczną prawi cą, z czasem został głównym polskojęzycz nym eksponentem światopoglądu rasistowskiego. Po zabójstwie prezydenta Narutowi-

cza współtworzył faszystowską organizację „Zakon Rycerzy Prawa”, współpracował także z innymi skrajnie prawicowymi ugrupowaniami, jak „Organizacja Monarchistów Polskich” czy „Stowarzyszenie Samopomocy Społecznej”. W 1922 opublikował pracę *Masonerja*, gdzie powieścił kłamstwa o wolnomularstwie jako wszechwładnej mafii dążącej do panowania nad światem.

W międzywojniu na froncie walki z wolnomularstwem w Polsce nie zabrakło i polityków szczególnie aktywnych w trakcie antymasońskiej kampanii 1938. W tej grupie można wymienić np. Leona Kozłowskiego (1892-1944), wspomnianego już Wacława Budzyńskiego i Juliusza Dudzińskiego (1893-1939).

Kozłowski to były premier (1934-1935), a później senator (1935-1939). Z wykształcenia był archeologiem, profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Miał za sobą przynależność lożową, z którą zerwał pod koniec lat dwudziestych, by zostać jej zagorzałym przeciwnikiem. Głośnym echem odbił się jego artykuł, ostro atakujący wolnomularstwo, który ukazał się w 1938 roku w jednym z lipcowych numerów tygodnika „Polityka”. W tekście tym zarzucił obozowi rządzącemu, że po śmierci Piłsudskiego zaniechał walkę z lożami. Chcąc ukazać zagrożenie masońskie podał całkowicie zmyśloną informację o aktywnych 1900 masonach w ówczesnej Polsce, z których co najmniej połowa miała pełnić różnorakie stanowiska w państwie.

Sensacyjne enuncjacje Kozłowskie go nie znalazły jednak wielu zwolenników, jego wystąpienie potraktowano raczej jako wybieg taktyczny. Wówczas bowiem stał się ostrym krytykiem ówczesnej polityki rządowej, wystąpił nawet z Obozu Zjednoczenia Narodowego, uznając go za zbyt lewicowy i mało prawicowy. Antymasońska działalność Kozłowskiego spotkała się też z reakcją w prasie satyrycznej, prawie wszystkie tytuły poświęciły jemu swoje teksty. To właśnie z tego okresu pocho-

dzi *O Panu Leonie Kozłowskim pieśń dziadowska*, z „Muchy”, której fragment brzmi:

„Tak się darł ów Kozłowski
Lecz opadły go troski.
Bo się Kraj domiarkował.
Że profesor ablagował.
Co gdzie wskaże masona,
Polska ze śmiechu kona.

Natomiast Budziński i Dudziński byli posłami, zasiadali w Klubie „Jutro Pracy”, reprezentującym nurt nacjonalistyczno-legionowy. Obydwaj zapisali się na kartach polskiego antymasonizmu swoimi ostrymi antywołnomularskimi tyradami na sejmowym posiedzeniu w lutym 1938. W swoich wystąpieniach uznali masonerię na obcą agenturę. Uznali bowiem, że wołnomularstwo w Polsce jest podległe zagranicznej centrali (amerykańskiej) i ściśle wykonuje jej polecenia, według nich zagrażające państwu.

Pokłosiem ich wystąpień był złożony w marcu 1938 przez Budzińskiego projekt ustawy o zwalczaniu masonerii. Pomysłodawca proponował w nim nakładanie za przynależność do wołnomularstwa kar pozbawienia wolności i grzywny, pobawienie osób uznanych za masonów wszelkich środków z funduszy publicznych, np. pensji czy emerytur, jak również konfiskatę na rzecz skarbu państwa wszelkiego majątku ruchomego i nieruchomego należącego do łóż.

Zwieńczeniem antymasońskiej kampanii był Dekret Mościckiego z listopada 1938 o rozwiązaniu zrzeszeń wołnomularskich (szerzej pisałem o tym w nr 89 FMW).

Po II wojnie, gdy nie było sprzyjającej atmosfery na odrodzenie Sztuki Królewskiej w Polsce (więcej w nr 91 FMW), to jednak w niektórych środowiskach obawa przez zgubnymi wpływami wołnomularstwa nie zaginęła. Takim symptomatycznym przykładem może być prymas Wyszyński i funkcjonowanie w ramach Episkopatu w latach 1946-1952 komórki an-

tymasońskiej. Choć efekty i ustalenia tej komórki nie miały nic wspólnego z rzeczywistością, to jednak bezgranicznie wierzył jej Wyszyński. Jej działalność i efekty pracy opisał Tadeusz Krok w wydanej w 2018 publikacji *Antymasońska Komórka Episkopatu Polski (1946-1952)*.

Również w niektórych kręgach ówczesnego obozu władzy antymasonizm nie był obcy. Można tu wymienić np. pojawienie się w połowie lat 70. XX w. anonimowej, funkcjonującej poza oficjalnym obiegiem publikacji *Czy masoneria opanowała kościół katolicki*, której autorstwo przypisuje się reprezentującej tzw. narodowy komunizm frakcji w PZPR kierowanej przez Mieczysława Moczara.

Obawa przed wpływami masonerii była widoczna także w ukazującym się w tzw. karnawale Solidarności tygodniku „Rzeczywistość”, który był ówczesną tubą propagandową pezetpeerowskiego „betonu”, gdzie istotną rolę odgrywali także zwolennicy Moczara.

Ciekawym przykładem z okresu stanu wojennego może być wydana w 1983 rzekoma „bibuła” antywołnomularska *Grabarze Polski cz. 1 – wstęp do badań masonerii*, podpisana pseudonimem Jan Wala. Nie udało się, jak na razie, do dzisiaj rozszyfrować, kto był jej prawdziwym autorem, jak również kto był jej inicjatorem, bo choć na stronie tytułowej widnieje Instytut Dokumentacyjno-Wydawniczy Polska Myśl Narodowa, to jednak profesjonalność i perfekcyjność, w jakiej została wydana, wyraźnie odróżnia ją od wielu ukazujących się w tym okresie podziemnych publikacji.

Po przełomie ustrojowym 1989, a następnie w okresie sukcesywnego odradzania się wołnomularstwa w Polsce i jego prawnego usankcjonowania na podstawie obowiązujących przepisów o stowarzyszeniach, z impetem powrócił i antymasonizm, szczególnie propagowany przez środowiska skrajnie prawicowe, kościelne i nacjonalistyczne.

W pierwszej kolejności pojawiające się jak grzyby po deszczu oficyny, nazwijmy je klerykalno-nacjonalistycznymi, zaczęły wznawiać publikacje z okresu międzywojennego wymienionych wyżej autorów. Również w licznych pismach o proveniencji nacjonalistycznej publicyści tam piszący podejmowali tematy o zagrożeniu, jakie niby niesie wolnomularstwo. Tu można jako przykład wymienić poznański periodyk „Wolna Polska” i wydawnictwo WERS. Redaktor tego pisma i właściciel wydawnictwa Zbigniew Rutkowski nie tylko w publikowanych tekstach dawał wyraz antymasońskim przekonaniom, ale w 2001 skierował wniosek do Ministra Sprawiedliwości, Prokuratora Generalnego „o wszczęcie postępowania w sprawie działalności wolnomularstwa na terenie Rzeczypospolitej Polskiej”. Wniosek ten nie został rozpatrzony i do dzisiaj jest wręcz klasycznym przykładem steku kłamstw i bredni na temat masonerii, wywołującym jedynie śmiech i politowanie nad (delikatnie mówiąc) płytkością umysłu autora.

Najbardziej znanym i najbardziej zajadłym współczesnym polskim antymasonem jest historyk filozofii (absolwent Akademii Teologii Katolickiej, gdzie w 1986 uzyskał stopień doktora) Stanisław Krajski. Regularnie publikował w gazecie „Nasz Dziennik”, gdzie komentował bieżące wydarzenia polityczne oraz omawiał tematy związane m.in. z masonerią i aktualną sytuacją kościoła katolickiego. Stale występował w Radiu Maryja i Telewizji Trwam, prowadząc programy o dobrym wychowaniu pt. „Savoir-vivre”. W 2017 media związane z Tadeuszem Rydzykiem zerwały z nim współpracę, jak też ze swoich księgarń wycofały wszystkie jego publikacje. Ponoć powodem tego była m.in. propagowana przez niego idea Intronizacji Chrystusa na Króla Polski i ostra krytyka papieża Franciszka oraz jego wizji katolicyzmu.

Bardzo obfite pisarstwo Krajskiego – praktycznie co roku wydaje jakąś książ-

kę dotyczącą masonerii – nie posiada jednak żadnej wartości merytorycznej. Są to po prostu paszkwile podlane mocnym antysemitycznym sosem, które trzeba i winno się traktować wyłącznie jako swoistego rodzaju bezwartościowe *curiosa*.

Tematykę antymasońską można również znaleźć w publikacjach m.in. Henryka Czepułkowskiego (1911-2004), Henryka Pajaka (rocznik 1937) czy Andrzeja Zwolińskiego (rocznik 1957).

Czepułkowski był katolickim duchownym (zakonnikiem salezjaninem), redaktorem naczelnym „Wydawnictw Salezjańskich”, „Pokłósia Salezjańskiego” i „Młodzieży Misyjnej”, jak również wykładowcą historii kościoła. Od 1959 przeszedł do pracy w diecezji warmińskiej, w której do przejścia na emeryturę w 1976 pełnił różnorakie funkcje. Jest autorem artykułów popularnonaukowych, m.in. o sektach i New Age, jak też publikacji *Antykościół w natarciu*, *Zamierzenia współczesnej masonerii*, będącej zapisem opatrzonym przypisami referatu na Ogólnopolskiej konferencji naukowej „O katolickie państwo narodu polskiego”, która odbyła się w lipcu 1993 w Krzeszowicach. Autor, tak jak wielu do niego podobnych, był zwolennikiem teorii, że masoneria to *quasi religia*, czyli właśnie antykościół, gdzie postać Chrystusa nie jest „Synem Bożym”, a jest tylko zredukowana do rzędu innych założycieli religii, jak Budda, Konfucjusz czy Mahomet.

Pajak to pisarz, publicysta i wydawca. Po studiach na UMCS związał się z Lublinem. Był współzałożycielem tamtejszej grupy poetyckiej „Prom”, działającej w latach 1959-1964. Od 1989 do 1995 był prezesem lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Debiutował w 1965 tomikiem poetyckim *Zanim powrócę*, swoje utwory publikował w czasopiśmie „Kamena”. Uprawiał reportaż i wiele cech jego twórczości ma w nim swoje źródło. Zajmował się przede wszystkim problematyką wiejską i wojenno-partyzancką.

Na początku lat 90. założył w Lublinie własne wydawnictwo „Retro”. Publikuje w nim swoje książki oraz opracowania innych autorów. Wydawnictwa te mają wyraźny nacjonalistyczny, antyeuropejski oraz antysemitowski i antyukraiński wydźwięk. Do publikacji, w których prezentował wrogi stosunek do wolnomularstwa jako niebezpiecznej sekty, można zaliczyć m.in. *Retinger, mason i agent syjonizmu* 1996 czy *Ostoje i plagi masonerii* 2013.

Andrzej Zwoliński to duchowny katolicki, teolog, profesor krakowskiego Uniwersytetu Papieskiego, kierownik tamtejszej Katedry Katolickiej Nauki Społecznej. Jego antymasońskie książki przypominają bardziej dysertacje naukowe i dlatego czytelnik niezbyt obeznany z zagadnieniami dotyczącymi wolnomularstwa może je uznać za wiarygodne. Należą do nich *Wokół Masonerii* 1993, *Religia masońska* 2014, czy z tego samego roku *Polskie ścieżki masonerii*.

Do tej grupy publikacji o wydźwięku naukowym i jednocześnie antymasońskim można również zaliczyć wydaną w 2007 książkę *Kościół a masoneria*. Jest to studium o wolnomularstwie z punktu widzenia prawa kanonicznego, a jego autorem jest Zbigniew Suchecki, ksiądz katolicki, profesor prawa kanonicznego Wydziału Teologii Uniwersytetu Warmińsko Mazurskiego.

Reasumując można przyjąć, że w zasadzie wszyscy współcześni autorzy podejmujący tematykę antymasońską powielają na temat wolnomularstwa negatywne stereotypy z okresu międzywojennego, jak np. ten o masonerii jako wszechwładnej mafii, dążącej do władzy nad światem, dążącej do likwidacji państw narodowych na rzecz światowego rządu (Unia Europejska to wymysł masonów), czy masonerii jako antykościół, którego celem jest zniszczenie kościoła katolickiego poprzez powszechną sekularyzację. Choć trzeba przyznać, że pojawiają się i nowe, jak np. że szczepienia to wymysł masonów, by poprzez wprowadzone do organizmów chipy mogli stero-

wać społeczeństwem (popularna brednia w okresie pandemii).

Całe antymasońskie pisarstwo, zarówno te dawniejsze jak i obecne, można zrecenzować cytatem dotyczącym wszystkich, którzy do wolnomularstwa odnoszą się z pozycji teorii spiskowych, a pochodzącego z powieści *Wahadło Foucaulta* Umberta Eco z 1988, pierwsze polskie wydanie 1993.

„Napiszę czy nie - to żadna różnica. I tak szukaliby innego sensu, nawet w moim milczeniu. Tacy już są. Ślepi na objawienie. Ale spróbuj im to powiedzieć. Brak im wiary”. □

Wykorzystano m.in.: Ewa Baum, *Ksiądz Karol Surowiecki w walce z wolnomularstwem na przełomie XVIII/XIX w.* „Poznańskie Zeszyty Humanistyczne” t. 3 2004; Eger Feliksa – biogram, w: *Kultura polska wobec zachodniej filozofii ezoterycznej w latach 1890-1939* <http://www.tradycjaezoteryczna.ug.edu.pl/>; Maria Knapikowa: *Mieczysław Skrudlik* – biogram w XXXVIII tomie *PSB*, 1997-1998, dostępny również w Internetowym Słowniku Biograficznym <http://www.ipsb.nina.gov.pl:8080/>; Jan Andrzej Krokodylewicz, *Masoński Spisek. Prowokacja Leo Taxila*, Warszawa 2024; Czesław Lechicki: *Morawski Kazimierz Marian (Dzierżykraj)* – biogram w XXI tomie *PSB*, 1976; Waldemar Marciniak, *Ksiądz Łuski walka z wolną myślą*, <https://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4428>

Zbigniew Mikołajko *Żywoty świętych poprawione ponownie*, Warszawa 2017; Katarzyna Rosiak, *Wizerunek masonerii jako organizacji satanistycznej na przykładzie publikacji Feliksa Eger, „Humaniora”*, czasopismo internetowe nr 1/2021 (wydawane przez UAM w Poznaniu); Przemysław Sołga, *Masoneria jako „Antykościół” w publicystyce katolickiej Drugiej Rzeczypospolitej*, „Studia Elckie” nr 3/2023;

Maciej Strutyński, *Masoneria w dyskursie polskich środowisk prawniczych po 1989*, „Wrocławskie Studia Politologiczne” nr 25/2018; Selim Wasylkiewicz, *Karol Surowiecki, ksiądz – masonożerca*, „Wolnomularz Polski” nr 62/2015; Waldemar Wojnar, *Za kulisami wielkiej mistyfikacji. Działalność Leona Taxila (1885-1897)*, „Ars Regia” nr 1/1994; Norbert Wójtowicz, *Maksymilian Maria Kolbe wobec masonerii*, „Szewska Pasaż” nr 2/1996 oraz *Antymasońska kampania 1938 roku*, Krzeszowice 2005.

SŁAWOMIR J. TABKOWSKI

PRZEKROJEM PRZEZ STARE KALENDARZE

Część III

Kontynuujemy wspomnienia z okresu, gdy autor był kierownikiem Wydziału Polityki Informacyjnej KC PZPR.

„Mija jakiś czas i czytam, chyba w „Polityce”, że w PZPR zaszły zmiany kadrowe, nowym sekretarzem Komitetu Centralnego PZPR do spraw kultury mianowano profesora Mariana Stępnia. Był polonistą z Uniwersytetu Jagiellońskiego, interesował się literaturą emigracyjną i o niej pisał. W tym samym czasie kierownikiem Wydziału Polityki Informacyjnej KC został mój przyjaciel Sławek (...) Umówiłem się (...) na spotkanie... Sobota, (28.01.1989 r. – S.J.T.) budynek opustoszały. Sławek pyta: „masz jakiś interes?”. Mówię: tak, do profesora Stępnia. Chciałbym powtórzyć manewr z Wasilewskim¹ – zapytać go, czy nie nadszedł czas na pokazanie na Targach Książki w Warszawie książek emigracyjnych. Sławek dzwoni do Stępnia: „Jest tu mój przyjaciel z Londynu, ma do ciebie sprawę. Kiedy go możesz przyjąć? (...) Ze Sławkiem Tabkowskim i Marianem Stępnem łączy mnie przyjaźń do dziś² spotykamy się ilekroć jestem w Krakowie. Trudno mi to powiedzieć

o wydawcach, z którymi dawno straciłem kontakt”³.

Wynikiem tego spotkania, o czym pisał również we wspomnieniach Marian Stępień, była podjęta przez niego decyzja o niedokonywaniu cenzury wydawnictw emigracyjnych, a co za tym idzie, po raz pierwszy w historii Targów Książki w Warszawie, nie objęto cenzurą pozostałych wydawnictw.

Przytoczyłem fragment wspomnień Jurka Kulczyckiego aby oddać czas, w którym pracowałem w KC; był szczególnie, odmienny pod wieloma względami od utartych, starych zwyczajów i opinii. Towarzyszyło mu m. in. powołanie Rakowskiego na sekretarza propagandy, Stępnia na równie kluczowe stanowisko w sferze kultury, nowe idee i kierujące się ku rzeczywistości i normalności, działania partii.

Również z pozoru niewiele znaczące, drobne symbole: świąteczna choinka po raz pierwszy w moim gabinecie i sekretariacie, a na biurku zastępcy Bolka Płazy oprawione w ramkę zdjęcie jego ukochanej Krysi. Spoglądając na nie półzartem powiedziałem, że partia ta sama, a jednak nie taka sama. Niby nic nadzwyczajnego, a jednak była to rewolucja w stosunku do wcześniej powszechnie tu królujących fi-

¹ Andrzej Wasilewski – w latach 1986-1988 był sekretarzem ds. kultury.

² Jerzy Kulczycki – znany i bardzo zasłużony, emigracyjny wydawca i księgarz, zmarł w 2013 r.

³ Jerzy Kulczycki – Atakować książką – IPN, Warszawa, 2016



gurek Lenina i wszelkich podobnych symboli.

PROPAGANDA, CZYLI POLITYKA INFORMACYJNA

Jak od dawna wszystkim wiadomo, propagandę prowadził Związek Radziecki (teraz Rosja), a w krajach demokratycznego zachodu tylko politykę informacyjną lub public albo political relations. Brzmi to niewątpliwie bardziej subtelnie, strawnie, a może nawet szlachetniej i mądrzej. W praktyce niczego nie zmienia. Idąc tym tropem dokonano zmiany nazwy mojego wydziału, na polityki informacyjnej i obudowano tę decyzję różnymi pozornymi zmianami strukturalnymi, które też nic nie zmieniły.

Kierowałem zespołem ok. czterdziestu osób, z których ok. jedna piąta stanowiła obsługę organizacyjno-techniczną. Przyjęto mnie (tak to odczuwałem szczególnie ze strony moich zastępców) nie tylko życzliwie, ale z wyraźną chęcią wprowadzenia w nową materię ze wzajemną współpracą, co zresztą trwało przez cały okres.

Struktura Wydziału obejmowała w tym czasie trzy piony, którymi kierowali zastępcy. Jan Bisztyga, z bogatym, wielokrotnym i wieloletnim doświadczeniem ambadorskim i pułkownika w wywiadzie – zajmował się informacją na i z zagranicy oraz takimi kontaktami; Stanisław Gleń – dziennikarz przybyły z kieleckiej prasy, odpowiadał za RSW oraz sprawy organizacyjne wydziału; Jerzy Słabicki – z KW PZPR w Rzeszowie, później asystent i doktorant w miejscowej WSP, polonista i religioznawca, miał w swoich obowiązkach tygodniki, prasę młodzieżową i cenzurę. Po jego odejściu na funkcję kierownika Zespołu Telewizji Polskiej i wiceprzewodniczącego Komitetu do spraw Radia i Telewizji, Bolesław Płaza, który odpowiadał za radio, telewizję i cenzurę. Był z wykształcenia magistrem inżynierem metalurgiem, ale nikt chyba na świecie nie kochał książek tak jak on. Poznałem go podczas dziennikarskiego spotkania w Szklarskiej Porębie, wtedy był sekretarzem propagandy KW w Jeleniej Górze. Od pierwszej rozmowy, zachowanie

i wyrażanych opinii zapamiętałem go jako bardzo interesującą postać, a później zaproponowałem pracę w Warszawie. Gdy informowałem Rakowskiego o tej zmianie kadrowej, powiedział, że zna Płazę ze spotkań w studenckim klubie „Gwarek” w Gliwicach.

W wydziale była grupa młodych, aktywnych, zajmujących się m. in. badaniami społecznymi, kilku starszych weteranów oraz dwie co najmniej osoby przybyłe z MSZ w okresie stanu wojennego, o których fachowości i kompetencji mogę tylko pisać pozytywy. Oczywiście miały miejsce różne sytuacje, łączące pionów dla wspólnych poczynań Wydziału.

Do smutnych wydarzeń należało dwukrotnie pożegnanie osób związanych z wydziałem; również udział w pogrzebie Zenona Kliszki na Powązkach. To drugie na polecenie Jaruzelskiego – ranga mojego stanowiska podczas tej uroczystości wyrażała powściągliwy stosunek PZPR do działalności zmarłego. Mój osobisty był jeszcze bardziej krytyczny, ale to inna sprawa.

Wydział odwiedzali liczni goście – w jakichś sprawach, interesach, projektach bądź, aby pogadać i czegoś się dowiedzieć. Irena Dziedzic przyszła z prośbą o wsparcie starań o stanowisko, na którym zapewne doskonale by się sprawdzała. Podjąłem sporo wysiłku i nie wiem po dziś dzień, dlaczego wszyscy ważni byli przeciw; z redaktorem Marianem Turskim z „Polityki” oglądaliśmy z kasety film dokumentalny o pogromie kieleckim. Jego emisja w TVP napotkała analogicznie skuteczny opór.

Miały też miejsce sytuacje wyjątkowe i bardzo sympatyczne. Pierwsza, która wprowadziła mnie w zdumienie, to prośba pracownika o poparcie wniosku na przedłużenie posiadania RAKA⁴. Dlaczego –

zapytałem – ten specyficzny rodzaj broni. Odpowiedział, że bardzo lubi go wozić na siedzeniu samochodu, a więc niepokieszony odszedł. Kontynuowałem od dawna zwyczaj, że gdy odchodziłem z jakiegoś stanowiska, żegnałem się i dziękowałem moim współpracownikom i podwładnym. Podobnie i tu takie spotkanie miało miejsce, acz nie wiedzieć skąd w gmachu, w którym obowiązywała prohibicja, znalazło się wino.

Jednak od samego początku zależało mi bardzo na jak najlepszej atmosferze pracy, która nie tylko jest skuteczna, ale niesie także satysfakcję i samozadowolenie. Na równi z kontaktami w terenie i spotkaniami dziennikarskimi – miałem im coś do powiedzenia, ale oni nie mniej. Do tych zapisanych w pamięci należały w „Sztandarze Młodych”, gdy naczelnym był Jurek Domański, w Gdańsku i w Szczecinie, a później niełatwe w Poznaniu, Krakowie i Opolu.

POLITYKA HISTORYCZNA?

W przestrzeni publicznej, przy coraz większych wpływach opozycji, również liberalizacji życia publicznego, odżywać zaczął temat powojennego, antykomunistycznego podziemia, wykorzystywany do bieżących celów politycznych. Dotyczyło to również określonej polityki informacyjnej – dziś to się nazywa polityką historyczną, choć na ogół z prawdziwą historią ma często niewiele wspólnego. Stąd warto przywołać dyskusję o pierwszych powojennych latach, która odbyła się w wydziale. W tym spotkaniu wzięli liczny udział przedstawiciele różnych grup kombatan-tów zrzeszonych w ówczesnej ich organizacji ZBoWiD. Podczas ożywionej debaty padło pytanie o to, jak odnieść się dziś (w 1988 roku) do postawy tej części ówczesnego społeczeństwa, która z bronią w ręku wystąpiła (bądź popierała) przeciw tzw. lubelskiej Polsce.

⁴ RAK - polski pistolet maszynowy przeznaczony dla wybranych oddziałów wojska i specjalnych jednostek milicji.

Były różne zdania i opinie, ale chyba większość zebranych podzieliła następującą ocenę: z wielką ostrożnością i uwagą należy odwołać się do wyjątkowo skomplikowanej sytuacji tamtych czasów i położenia w nich dwóch stron konfliktu. Każda miała swoje głęboko uzasadnione racje i każda poparcie społeczne. Każda przywoływała przykłady brutalności przeciwnika, mając też wiele racji i każda chciała Polski w jej mniemaniu jak najlepszej. Jednak prawda jest również taka, że gloryfikacja działalności podziemia nie jest zgodna z wieloma jego poczynaniami: mordowanie Żydów, bo są Żydami czy też ludności białoruskiej, bo to prawosławni i popierający nowe władze, zabijaniem ludzi niewinnych, kobiet a nawet dzieci. Wśród walczących z nową władzą nie było samych, patriotycznie nastawionych aniołów, a wręcz odwrotnie – można odnaleźć wyjątkowo licznych zwykłych bandytów, także sadystów. Nadto wydumane i nierealne oczekiwanie na III wojnę światową kierowało antykomunistyczne podziemie w polityczną nicość. W tej wojnie domowej historia dała zwycięstwo jednej ze stron, ale to wszystko należy już do odległej przeszłości. A w imię jedności narodu nie dzielimy go dziś dodatkowo i bez sensu, zakończmy ten spór bowiem nic on nie wnosi ani do współczesności, ani na przyszłość.

Temat powrócił dużo później i trwa nadal, szczególnie po ustanowieniu przez Sejm 1 marca Dniem Żołnierzy Wyklętych. Poza politycznymi gramami, bez jakiegokolwiek pożytku, natomiast nikt, łącznie z lewicą, nie zastanowił się nad uczczeniem pamięci tysięcy bezbronnych, pomordowanych.

CORAZ DUSZNIEJ

W strukturze centralnej instytucji PZPR pełniłem funkcję wykonawczą, niejako z natury pozbawioną własnej inicjatywy, bo wyznaczaną decyzjami Biura Politycznego i bezpośredniego przełożonego.

Podjęmowanie samodzielnych, ważących decyzji mogło mieć miejsce w jakiejś krytycznej sytuacji, w której jest się skazanym tylko na siebie, albo dzięki wspólnemu widzeniu spraw z przełożonym. W tej biurokratycznej strukturze, jak w każdej podobnej, obawa, niechęć, a nawet strach w skuteczny sposób zabijały inicjatywę, a wraz nią odwagę we wprowadzaniu novum. Nadto krępowały obowiązki, jakże często tylko fasada, kolegialność i rozliczne układy charakterystyczne dla wszystkich centrów władzy. Co najmniej ograniczały tempo procesu decyzyjnego, co w rzeczywistości i w powszechnym odczuciu traktowano jako ociążałość i stałe spóźnianie się.

W OKRESIE PRACY W KC MIAŁEM PIĘCIU SZEFOW,

co o tyle stanowiło ewenement, iż na ogół przełożeni dobierali sobie nowych, bliskich im współpracowników. O pierwszym, Janie Głowczyku pisałem. Później „odziedziczył” mnie Stanisław Ciosek, z którym o tyle trudno się współpracowało, gdyż pochłonięty był wszystkim poza propagandą. Trzecim przedstawionym był Mieczysław Rakowski, a z czwartym było samo nieszczęście. Z Markiem Królem, poprzednio redaktorem naczelnym „Wprost” z Poznania, po prostu darliśmy koty. Nie bardzo wiedział, co i jak ma robić w nowej dla niego roli, zwał na innych obowiązki, sam pilnując wagi uzyskanego stanowiska i umacniania swojej pozycji. Pamiętał oczywiście kłopoty związane z Kiszczakiem i okładką „Wprost” którym jakoby ja byłem winny. Posłem, a później sekretarzem KC został przez zbieg okoliczności – klęski listy krajowej w czerwcowych wyborach i dalszych tego faktu konsekwencji. W kolejnej telefonicznej rozmowie usłyszałem od niego groźbę zwolnienia, na co odparłem: „Szczęść Boże towarzyszu sekretarzu w tym zbożnym dziele, ale jak ja znam życie, to nic z tego nie będzie”. Niedługo po tej rozmowie opowiadano, że „królobójcą”

Marka Króla⁵ okazał się mój zastępca Bolek Płaza. Coś tam było na rzeczy, a skutek identyczny. Zdzisław Balicki był ostatnim przełożonym – poprzednio I sekretarz KW we Wrocławiu, z zawodu dziennikarz. Rozumieliśmy się bez słów, ale już zbliżał się koniec mojego pobytu w KC.

Nie mam wiedzy ilu kierowników tego wydziału składało z własnej woli rezygnację ze stanowiska. Józef Klasa, postać wybitna i były I sekretarz KW w Krakowie, później szef tego wydziału, raz i skutecznie, a ja dwa razy i nadto bez skutku. Po raz pierwszy zimą 1988 roku oświadczyłem Wojciechowi Jaruzelskiemu, że jako człowiek w swych działaniach skuteczny, niewiele mogę podjąć, ani też zrealizować zadań i celów, które uważam za konieczne. Proszę o wyrażenie zgody na moją dymisję. Usłyszałem w odpowiedzi, że nie powinienem popadać w stan frustracji, że ocena mojej pracy jest bardzo dobra, i że powrócimy do tej sprawy za jakiś czas. I za jakiś czas, to znaczy wiosną 1989 roku ponowiłem u Generała moją prośbę. Wtedy poprosił abym dotrwał do czerwcowych wyborów, a później przejdę na stanowisko I sekretarza Komitetu Krakowskiego PZPR. Potwierdził ten plan ówczesny sekretarz KC ds. organizacyjnych Zygmunt Czarzasty, a Boguś Kołodziejczak – kierownik Kancelarii Sekretariatu KC – usilnie mnie przekonywał do akceptacji powrotu Józefa Gajewicza (aktualnego I sekretarza KK PZPR) na stanowisko prezydenta Krakowa. Późniejsze wydarzenia całkowicie zmieniły te zamiary. I dobrze.

⁵ Jakim człowiekiem był Marek Król okazało się w III RP, ostatnio toczy się śledztwo w sprawie jego wypowiedzi w TV Republika o imigrantach, że należy im „założyć chipy, tak jak się pieskom zakłada, a tańsze są jeszcze numery na lewej ręce wytatuować, wtedy łatwo się ich znajdzie”, „Przegląd”, nr 13, 2024.

OLÓWEK I GUMKA W INTELEKTUALNYM WYSILKU

Jak można było tych koniecznych zmian dokonać, albo przynajmniej próbować, na przykład z członkiem Biura Politycznego XZ. Na posiedzeniu BP otrzymał od Jaruzelskiego polecenie przygotowania, z udziałem niektórych kierowników wydziałów, pewnego dokumentu. W następnym dniu zebraliśmy się w jego gabinecie i otrzymaliśmy projekt materiału. Gospodarz spotkania zaczyna na głos czytać pierwsze zdanie, a dostrzegając w nim braki wpisuje ołówkiem kilka słów. Przechodzi do drugiego zdania i okazuje się, że są w nim treści dopisane do pierwszego. Usuwam je gumką z pierwszego zdania, poprawiam ołówkiem drugie zdanie i przechodzę do trzeciego z identyczną procedurą. Efektem tej ciężkiej pracy był stos zużytej gumki, a jeśli idzie o dokument, to wszyscy jałkoś zgodnie nie przeszkadzali autorowi.

KOŚCIÓŁ PONAD WSZYSTKO

W tę niedzielę 1989 roku byłem w pracy i z telefonicznym pytaniem „czy to dać” zwrócił się do mnie szef Polskiej Agencji Prasowej Bogdan Jachacz, opisując fakt utopienia się, będącego pod wpływem alkoholu, wysokiego dostojnika Kościoła z jednej z diecezji. Odpowiedziałem, że jeżeli wszystkie informacje są rzetelnie sprawdzone, to oczywiście, że dać. Takie stanowisko widocznie go nie zadowoliło i „skonsultował się z moim ówczesnym szefem Stanisławem Cioskiem, od którego dostałem burę za nieodpowiedzialne decyzje w stosunku do Kościoła, z którym mamy dobre stosunki, a które mogą w konsekwencji... itd., itp. etc.

Kto by wtedy pomyślał, że za trzydzieści kilka lat, w wymarzonej kraju prasa będzie pisać o pedofilii wśród kleru, a ostatnio „Gazeta Wyborcza” o konserwatyzmie Jana Pawła II. W PRL-u było niemożliwe, tymi sprawami zajmowała się SB, z wiadomego powodu pilnować mia-

ła cenzura a nadzorować podobno Wydział Polityki Informacyjnej KC, o czym dziś nie pamiętają hierarchowie Kościoła.

4 CZERWCA

Trzecim, po kwestii katyńskiej i Okrągłym Stole, szczególnym wydarzeniem w okresie mojej pracy w KC była kampania polityczna poprzedzająca wybory w 1989 roku. Te poczynania, których celem powinno być uzyskanie jak najlepszego wyborczego wyniku przez stronę koalicyjną, jednoczącą przedstawicieli trzech partii i niektórych chrześcijańskich stronnictw, w ostatecznym wyniku dowiodły swojej, co najmniej małej skuteczności, a ściślej mówiąc klęski⁶. Nie miejsce tu na szczegółową analizę tego wydarzenia, co zresztą, o ile mi wiadomo, nie było dotychczas przedmiotem żadnej poważnej i w miarę obiektywnej naukowej publikacji⁷.

Pozornie wydawać by się mogło, że w tej kampanii działania propagandowe (niekoniecznie PZPR, również każdej partii w odmiennym czasie) odgrywać powinny ważną, jeżeli nie dominującą rolę. Nic bardziej mylnego w stosunku do Wydziału Polityki Informacyjnej KC, gdyż w funkcjonującym systemie władzy było nadto decydentów rozstrzygających najważniejsze kwestie związane z nadchodzącymi wyborami. Nasze uwagi i wątpliwości, także obawy wynikające z prowadzonych analiz, były co najmniej pomijane⁸. A inicjatywy nie odnajdywały wsparcia u Stanisława

Cioska – sekretarza KC odpowiedzialnego również za tę działkę – pochłoniętego rozmowami z opozycją i zapewne jeszcze innymi ważnymi sprawami, co skutkowało tym, że nie miał głowy ani czasu do bieżących spraw propagandy.

Marginalizacja działań propagandowych, sprowadzających się jedynie do kontaktu i jakiegoś tam instruktażu dla prasy, radia i TV wiązała się również z rozstrzygniętym już wcześniej, ustalonym wynikiem wyborczym, bowiem gwarantował on dla strony koalicyjnej 65% miejsc w przyszłym Sejmie. Miał to być jedyny sposób na dalsze utrzymanie władzy, bo jak wspominał Stanisław Ciosek, „Ludzie po prostu mieli nas dosyć”⁹.

Prognozy, a właściwie wróżby, Wydziału Organizacyjnego KC o zdecydowanym naszym sukcesie były na tyle przekonujące co i oczekiwane do tego stopnia, że nawet Wojciech Jaruzelski podczas telekonferencji z I sekretarzami KW, w której uczestniczyłem, ostrzegł, aby z tym zwycięstwem nie przesadzać. Nie dziwi więc może w tej sytuacji przesyłka projektów wyborczych plakatów, którą otrzymałem od zaniepokojonego takim stanem rzeczy premiera Rakowskiego. Wykorzystałem je polecając druk i kolportaż, co oczywiście nie mogło ani zmienić wyników kampanii, ani też stanowić antidotum na wyjątkową, wizualną aktywność strony opozycyjnej.

Przy inaczej prowadzonej kampanii jej wynik mógłby być na pewno o wiele lepszy, nota bene nie zmieniający rozpoczętego procesu zasadniczych przemian politycznych i ustrojowych, ale dający szansę aktywnego wpływu lewicy na przebieg dalszych wydarzeń. Defensywa strony koalicyjnej, bardzo wysokie procentowe wy-

⁶ Pisał o tym podobnie W. Jaruzelski – Starsi o 30 lat – Wyd. Adam Marszałek, Toruń, 2011.

⁷ Ukazało się poza liczną, okolicznościową i na ogół stronnictwą publikacją szereg cząstkowych opracowań, a wśród nich interesująca praca Aleksandry Boćkowskiej – Można wybierać 4 czerwca 1989 – Wydawnictwo Czarne, 2019.

⁸ Wydział przeprowadzał własne badania społeczne i analizował ich wyniki dzięki po-

siadaniu doskonałych, młodych fachowców i odpowiedniej bazy technicznej.

⁹ Stanisław Ciosek – Wspomnienia (niekoniecznie) dyplomatyczne – Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa, 2014.



Wyprowadzenie sztandaru PZPR na XI Zjeździe

mogi stawiane kandydatom z listy krajowej, nieporównywalne do liczby głosów otrzymywanych przez startujących spoza niej, błędy w konkurencyjnym obsadzaniu mandatów, zaważyły na wynikach.

Kilkudziesięcioletnie nawyki szerokiego aparatu władzy – również centralnego – zawsze dotąd zwycięskiego i w żaden sposób nie przygotowanego, nie tylko mentalnie, do nieznanego wcześniej wyzwania, przyniosły określone skutki. Miał również istotne znaczenie fakt, że wybory parlamentarne przerodziły się w rodzaj plebiscytu – można było wreszcie wystawić rachunek za wszystkie błędy i niedostatki PRL z nadzieją na inne, lepsze czasy.

4 czerwca w godzinach wczesno popołudniowych odbyło się rozszerzone posiedzenie Sekretariatu KC PZPR. Przyjęto do wiadomości znane częściowo wyniki wyborów. Nie wzbudziły wśród obecnych nadzwyczajnych emocji, ale sytuacja stawała się niewątpliwie o wiele trudniejsza. Jedynie wicepremier Ireneusz Sekuła wnioskował o siłowe działanie, co przyjęto milczeniem i brakiem jakiegokolwiek re-

akcji. Wpływy PZPR, ZSL i SD były bowiem zagwarantowane wcześniejszym układem politycznym z opozycją o procentowym udziale przedstawicieli tych partii i stronnictw w przyszłym Sejmie. Jak to nie raz w historii bywało i tym razem do czasu.

Ciosek wspominał, że propaganda z czasów PRL miała siermiężny charakter w stosunku do obecnej. To prawda, co nie zmienia faktu, że po wyborach, 29 lipca 1989 roku, odszedł z funkcji sekretarza KC PZPR odpowiadającego m. in. za tę dziedzinę działalności. Ale nadto, nie aby się usprawiedliwiać, napisał: „Do przewidzenia było, że padnie na tych, którzy najpierw negocjowali z opozycją doprowadzając do Okrągłego Stołu, potem przy nim zasiedli, a na końcu współtworzyli kampanie wyborczą starej władzy. Cóż, spłonąłem na partyjnym ołtarzu razem z Czyrkiem i Barcikowskim, ale nie narzekam”.

MOŻNA NORMALNIE ROZMAWIAĆ

Po utworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego partia straciła dotychczasowe wpływy nie tylko w telewizji, ale ta dla

nas była najważniejszą. Należało porozumieć się z jej nowym prezesem i z taką inicjatywą wystąpiłem do Andrzeja Drawicza. Spotkanie rozpoczęło się w budynku telewizji o 11.00 w sobotę, 14 października 1989 roku. Prezes był sam, a ze strony wydziału jeszcze Jan Bisztyga i Bolesław Płaza. Taki skład wynikał z faktu, że pierwszy miał przebogate doświadczenie takich okoliczności, a drugi odpowiadał za tę działkę i zapewne zostanie moim następcą. Pomimo wagi planowanych do poruszenia spraw zacząłem od przypomnienia, że obaj związani jesteśmy z Krakowem, a dopiero teraz mamy okazję się poznać; nadto wyraziłem nadzieję, że jakoś po krakowsku dogadamy się. Tematem były dwie kwestie: sytuacja kadrowa ludzi związanych z partią a pracujących na różnych stanowiskach w TV oraz o relacje o PZPR wraz z jej zbliżającym się XI Zjazdem. Nie wchodząc w szczegóły, spotkanie było rzeczowe, kompetentne, wyrażające chęć porozumienia w nowych politycznych warunkach a reakcja gospodarza satysfakcjonująca. Nadto – co ważne – potwierdzona działaniami do końca jego prezesury.

Niestety takich Andrzejów Drawiczów, Mirosławów Dzielskich, Jacków Kuroniów, Krzysztofów Kozłowskich po stronie rządzącej, a szerzej solidarnościowej było niewiele. Rodziło się już wtedy przekonanie, że gdyby te osoby i im podobne miały decydujący wpływ na cały przebieg tworzenia nowej Polski, byłaby ona inna.

WYPROWADZIĆ SZTANDAR

Byłem dotąd człowiekiem sukcesu tzn. sukcesu instytucji bądź jej części, którą kierowałem, przenosił się również na mnie. Dotyczyło to także doktoratu, za który otrzymałem nagrodę ministra. Te doświadczenia powodowały, że wierzyłem święcie, iż nawet bardzo trudne problemy da się zawsze rozwiązać. Łączyło się to z przeświadczeniem, że władza wie co czyni, że posiada wystarczającą wiedzę nie tylko o istnie-

jącej sytuacji, ale przede wszystkim plan – wizję na przyszłość. Po miesiącach pracy w KC rosło przeświadczenie, że siły napędowe wydarzeń pozostają daleko od partii.

W miarę upływu czasu, szczególnie po odejściu Mieczysława Rakowskiego na stanowisko premiera jesienią 1988 roku, moja frustracja rosła. Niewiele mogłem sam zmienić i zrobić, a wkoło roilo się od nierozwiązanych problemów, zadawnionych kłopotów i nadchodzących zagrożeń. A myśmy w wydziale pisali różnego rodzaju „kwity”. Do anegdoty przeszła historia z przygotowywanym referatem na jakieś plenium KC. Kiedy Ciosek odrzucił jego kolejną wersję odpowiedziałem z całą powagą: „Nic nie szkodzi, mamy jeszcze jedną grupę autorów, czwartą wersję będą pisać borowiki¹⁰ i sprzątaczkę”.

Przez kilkanaście miesięcy obserwowałem, będąc niemyym świadkiem wydarzeń, jak po równi pochyłej staczał się błyskawicznie autorytet państwa, znaczenie i wpływ partii. Z badań członków partii, które przeprowadził mój wydział wczesną jesienią 1989 roku wynikało, że „Kondycja psychiczna członków partii jest bardzo niedobra. Dominuje postawa apatii i wyczekiwania (41,8%), pogłębia się lęk i obawa przed przyszłością. Ok. 40% określa swoje odczucia jako zniechęcenie, przygnębienie, bezsilność i rezygnację. Nastroje te wynikają z negatywnej oceny ogólnej (pogorszenie się sytuacji społ-polit. – 45% i gospodarczej – 61%, niewielkiej nadziei na lepszą przyszłość, tylko 30% wierzy w jakąkolwiek poprawę sytuacji w ciągu 3 lat) oraz bardzo krytycznej oceny pozycji politycznej własnej partii (spośród 17-tu instytucji najmniejszy wpływ na to co się dzieje teraz w Polsce mają – zdaniem badanych – kolejno aparat partyjny i Biuro Polityczne)”. W tamtym czasie moja żona zapytała: „Co będzie dalej?” odpowiedziałem: „Nie

¹⁰ Ochraniający gmach KC PZPR funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu.

wiem, ale mam już tego wszystkiego dość, niech to wszystko już raz się skończy!”

Przekreślenie sensu całego okresu mojej pracy w KC było by niezgodne z prawdą. Nie była to ani moja, ani też wielu innych klęska, uczestniczyłem w dokonującym się, szczególnie przełomie, który, jak wielu uważałem za nieodczyny. Nie byłem obrońcą przegranej sprawy; należałem do tych, którzy uważali, że konieczne są fundamentalne zmiany w partii, jak też w całym społeczno-politycznym i ekonomicznym życiu kraju. Powyższa postawa nie była sprzeczna z oceną historycznych dokonania Polski Ludowej, również z osobistym interesem wynikającym z zajmowanego stanowiska. To wszystko nie zmienia faktu, że o ile czas w „Gazecie Krakowskiej” uważam za bardzo twórczy, frapujący i satysfakcjonujący, wart poświęcenia kilku lat życia, o tyle okres pracy w KC był na ogół żalosną szamotaniną. Może miało to związek z czasem przełomu lub tak jest w centrum każdej władzy? Nie wiem.

Nie pracowałem już w KC, ale byłem delegatem. Sala Kongresowa w PKiN w Warszawie w styczniu 1990 roku, w czasie ostatniego XI Zjazdu PZPR, w którym uczestniczyłem. Podjęto uchwałę o zakończeniu działalności partii. I sekretarz KC Mieczysław Rakowski wypowiedział historyczne słowa: „Obecność PZPR w życiu narodu i kraju traktujemy jako zakończoną. Sztandar Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wyprowadzić”. Tamta chwila nie zmieniła oczywiście moich lewicowych przekonań i aktywności w tej materii, ale mimo wyboru do władz centralnych nowej SdRP, mój czas w wielkiej polityce się skończył.

POŻEGNANIE Z WARSZAWĄ

Na zjeździe założycielskim Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polski Aleksander Kwaśniewski zgłosił „autorską” 59-osobową listę osób do wybieranej Rady Nacionalnej, na której mojego nazwiska nie było.

Już wtedy powinienem uzmysłowić sobie, że dla nowej partii jestem zbędny. Ale natura wzięła górę, dzięki namowom i działaniom Janka Bisztygi, powalczyłem, zostałem zgłoszony z Sali, a wyniki wyborów mogły mnie usatysfakcjonować, gdyż „wyprzedziłem” dobrych kilka osób z listy „autorskiej”. Co prawda nie miałem „społecznej wiarygodności”, ale byłem jednak potrzebny, przynajmniej do czasu rozstrzygnięcia losów RSW jako główny „rozgrywający”. Ten okres mojej pracy trwał nie całe pół roku – był niewątpliwie najtrudniejszym, ale mogłem przynajmniej, jak na te okoliczności podejmować optymalne decyzje. Efekt nie był oczekiwany – pisałem już o tym – to już ode mnie nie zależało. Okres bijatyki o RSW w liczący się sposób „zużył” mnie i nie pasowałem do nowej partii w nowych czasach.

Starałem się więc przedstawić taki projekt-propozycję, który uzyskując poparcie dałby mi szansę nie tyle na odgrywanie jakiejś politycznej roli, a na najzwyczajniejsze przeżycie. Pierwszym był pomysł powołania tygodnika „BRYK”, który zawierać miał przedruki z krajowej prasy. Jak kilka lat później okazało się, gdy powstała „AGORA” propozycja była trafiona w dziesiątkę. Wtedy nie została przyjęta. Później opracowałem dla Ad novum – nowego wydawnictwa „Trybuny” szukającego funduszy – koncepcję komputerowego pośrednictwa w sprzedaży różnego rodzaju wytworów i towarów. I znowu po latach Allegro zaczęło świętować swoje wielkie tryumfy, ale wtedy u wielu zabrakło ponownie wyobraźni. Jedynie Marek Siwiec argumentował, że jest to najbardziej nowatorski i perspektywiczny pomysł, ale nikt z pozostałych go nie poparł. Jeszcze później miałem zająć kluczowe stanowisko u jednego z zagranicznych wydawców, ale z tego też nic nie wyszło. Czas było zdać służbowe mieszkanie, wracać do Krakowa i szukać swojego miejsca w nowych zupełnie odmiennych okolicznościach. □

DANUTA STOLAREK

FURIE CZERWONEGO TERRORU XIX I XX WIEKU (CZĘŚĆ II)

WIERA FIGNER

Wiera Nikołajewna Figner urodziła się 25 czerwca 1852 r. we wsi Nikiforowo (gubernia Kazańska), w rodzinie szlacheckiej. Ojciec był sztabskapitanem w stanie spoczynku, później sekretarzem gubernialnym, a zakończył karierę zawodową jako leśniczy. W rodzinie było sześcioro dzieci Wiera miała trzy siostry i dwóch braci. Ona była najstarsza, a dzieciństwo upłynęło jej w głuchych lasach. Rodzice byli potomkami wychodźców z Inflant, a tytuł szlachecki otrzymali od cara Pawła I.

Dzieciństwa w swoich memuarach nie wspominała najlepiej. Ojciec był despotą. Jej braciom wymierzał surowe kary fizyczne, córek nie bił nigdy, ale musiały ślepo podporządkowywać się jego wymaganiom w najdrobniejszych sprawach.

Początkowo otrzymywała domowe wykształcenie, które wraz z siostrą Lidią kontynuowała w Kazańskim Instytucie dla szlachetnie urodzonych panien w latach 1863-1869. Edukację w Instytucie ukończyła z wyróżnieniem.

W Instytucie szczególną uwagę przywiązywano do wychowania religijnego. Wiera po jego ukończeniu została zdeklarowaną ateistką. Jednakże, jak podkreślała w swojej autobiografii, wyniosła z Ewangelii niektóre zasady, jak „poświęcenie się bez reszty raz wybranemu celowi” oraz „pewne najwyższe wartości moralne”, które w przyszłości powiązała z działalnością rewolucyjną.

W czasach carskich bramy uniwersytetów były dla kobiet zamknięte. Uniwersytet Kazański pozwolił słuchaczkom uczestniczyć w programie kształcenia. Wraz z siostrą Lidią odbyły roczny kurs na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Kazańskiego, kiedy na katedrze anatomii otwarto kurs dla akuszerok. Marzyła o zawodzie lekarza.

Pisała, że przekonania moralne zmusiły ją do wyboru zawodu lekarza. Po zwolnieniu profesora P. F. Lesgrafta – jego katedra została zlikwidowana. Dla siostr Figner dalsza edukacja została zamknięta. Prosiła ojca o zgodę na wyjazd za granicę w celu kontynuowania studiów medycznych. Zamiast tego ojciec postanowił szybko wydać ją za mąż za bogatego ziemianina w nadziei, że obowiązki rodzinne pozbawią ją marzeń.

W październiku 1870 roku wyszła za mąż za absolwenta Wydziału Prawa Uniwersytetu Prawa Uniwersytetu Kazańskiego, sędziego śledczego w Samarze Aleksieja Wiktorowicza Filippowa, bogatego ziemianina z guberni kazańskiej. Ślub odbył się w wiejskiej cerkwi we wsi Nikiforowo. Uczucie było wzajemne.

Małżeństwo nie przeszkodziło w realizacji jej marzeń. Wiosną 1872 roku wraz z mężem i siostrą Lidią wyjechali do Szwajcarii. Rozpoczęła studia na Uniwersytecie w Zurychu. W Szwajcarii było wówczas wiele kół rewolucyjnych. Tam poznała wielu znanych rewolucjonistów, m.in. Ławrowa i Bakunina. Obie siostry

zafascynowały się działalnością rewolucyjną.

Wiera próbowała wciągnąć do niej męża. Niestety, nie podzielał jej poglądów. Rozbieżności doprowadziły do rozwodu z inicjatywy męża, który powrócił do Rosji. Kontynuował pracę zawodową na stanowisku sędziego.

Działalność rewolucyjna pozostała sensem życia sióstr. Później w działalność rewolucyjną włączy się Jewgienija. Najmłodsza siostra Olga udała się za mężem na zesłanie. Brat Nikołaj zostanie znanym śpiewakiem operowym, solistą Teatrów Imperatorskich, brat Piotr – wybitnym inżynierem górniczym. Nigdy nie zostali rewolucjonistami.

W latach 1873-1874 studiowała na uniwersytecie w Zurychu. Kiedy władze carskie zażądały od władz szwajcarskich wydalenia wszystkich nieprawomyślnych studentów, członków organizacji rewolucyjnych, przeniosła się do Berna, gdzie kontynuowała studia w latach 1873-1875.

W 1876 roku na wezwanie partii wróciła do Rosji. Zdała egzamin felczerski. W tym też roku z inicjatywy męża nastąpił oficjalny rozwód. Kontynuowała działalność rewolucyjną, prowadziła aktywną agitację wśród studentów i żołnierzy w Petersburgu i Kronsztadzie. Uczestniczyła w działalności tzw. narodników, przemierzała różne zakątki rosyjskiej prowincji, szerzyła oświatę wśród ludu, aktywnie prowadziła propagandę socjalistyczną wśród chłopstwa, mało podatnego na nowe trendy.

Wykorzystując zdobytą wiedzę medyczną udzielała pomocy jako felczarka. Wzięła udział w wielkiej demonstracji rewolucyjnej na Placu Kazańskim w Petersburgu. Po powstaniu nowej organizacji Narodna Wola (Wola Ludu) została członkinią komitetu wykonawczego partii.

W 1890 roku uczestniczyła w przygotowaniu zamachu na cara Aleksandra II. Po udanym zamachu organizacja w Pe-



Wiera Figner

tersburgu została rozgromiona. Była jedyną uczestniczką, której udało się uniknąć aresztowania. Podobno słynęła z niebywałego sprytu w ucieczkach i wymykaniu się z rąk policji. Udała się do Odessy, gdzie zorganizowała zamach na prokuratora Strielnikowa. Niestety, została zdradzona przez policyjnego prowokatora. Jej areszt wywołał wielką sensację.

Pokazywano ją jak eksponat różnym funkcjonariuszom aparatu represji, a car Aleksander III zakrzyknął: „Wreszcie ta straszna kobieta aresztowana”. Ponad 20 miesięcy czekała na proces w twierdzy Pietrpałowskiej w pojedynczej celi. Na słynnym „procesie 14” otrzymała wyrok śmierci przez powieszenie, który później zamieniono na dożywotnią karę więzienia w pojedynczej celi w twierdzy Szlisselburg, nazywanej rosyjską Bastylią.

Krążyło powiedzenie, że „stamtąd nie wychodzą, stamtąd wynoszą”. Pobyt w więzieniu opisała w powieści autobiograficznej. Okropność pobytu potwierdza statystyka: podczas jej pobytu 13 więźniów stracono, zmarło 15, trzech popełniło samobójstwa, pięciu postradało zmy-

sły. W murach twierdzy, pozbawiona praw obywatelskich, nazwiska (była „więźniarka nr 11”), spędziła 20 lat.

W 1903 roku umierająca matka zwróciła się z prośbą do cara Nikołaja II z prośbą o jej ułaskawienie. W 1904 r. pobyt w więzieniu zamieniono jej na dożywotne zesłanie. Wysłano ją do guberni archangielskiej, później do guberni kazańskiej, stamtąd do Niżniego Nowgorodu.

W 1906 r. drukarnia Goldberga wydała zbiorek jej 25 wierszy napisanych podczas pobytu w twierdzy, tam też spisała wspomnienia o swojej działalności rewolucyjnej „Utrwalony ślad”. W 1906 roku uzyskała zgodę na wyjazd do Szwajcarii na leczenie. W Szwajcarii kontynuowała działalność polityczną. W 1907 roku wstąpiła do partii eserów. Opuściła szeregi partii po zdemaskowaniu prowokatora J. P. Azeffa, którego długo broniła przed zarzutami agenturalnymi.

W 1910 r. była inicjatorką utworzenia „Paryskiego Komitetu Pomocy Więźniom Politycznym”, podjęła współpracę z J. P. Pieszkową. Celem komitetu było uświadomienie zachodniej opinii publicznej i zaangażowanie jej w pomoc materialną. Przekazy pieniężne zaczęły napływać z Hamburga, Bukaresztu, Neapolu, Chicago.

W. Figner nieźle znała języki angielski i francuski, często występowała na mitingach, na zebraniach studenckich, w mieszkaniach prywatnych. Publikowała wiele artykułów na tematy polityczne w czasopiśmie zagranicznych. W 1911 r. wydała broszurę „Les prisons russes” o więzieniach rosyjskich, przetłumaczoną na wiele języków. Opublikowała biografie wielu działaczy Narodnej Woli, o ruchu rewolucyjnym w Rosji. Styl jej publicystyki wysoko cenił I. Bunin, który stwierdził: „Oto od kogo trzeba uczyć się pisać”.

W 1915 roku wróciła do Rosji, została aresztowana na granicy, skazana na zesłanie do Niżniego Nowgorodu pod nad-

zór policji. W 1916 roku, dzięki staraniom brata Nikołaja uzyskała zezwolenie na zamieszkanie w Piotrogradzie. Rewolucję lutową 1917 roku powitała w charakterze przewodniczącej Komitetu Pomocy Zwolnionym Więźniom i Zesłańcom. W marcu 1917 roku uczestniczyła w manifestacji żołnierzy i robotnic, żądających równouprawnienia kobiet. Od rządu tymczasowego żądała zapewnienia kobietom praw wyborczych w wyborach do Zgromadzenia Konstytucyjnego.

W kwietniu 1917 roku została honorową członkinią Wszechrosyjskiego Zjazdu Nauczycieli, członkinią Komitetu Wykonawczego Wszechrosyjskiej Rady Deputowanych Chłopskich. Na II zjeździe Grupy Roboczej nawoływała do zjednoczenia ugrupowań narodnickich w jedną partię. W maju 1917 roku została honorową przewodniczącą Wszechrosyjskiego Zjazdu Przedstawicieli Rad Deputowanych Chłopskich, który delegował ją do Zgromadzenia Konstytucyjnego. Została członkinią Konstytuanty.

W czerwcu 1917 roku napisała apel starych rewolucjonistów i wszystkich obywateli Rosji o kontynuowanie wojny do zwycięskiego końca, czym wrogo usposobiła do siebie bolszewików. Nie akceptowała przewrotu październikowego, nigdy nie została członkinią partii komunistycznej, ale też nie emigrowała. W latach 1920-21 opublikowała dwa tomy pracy „Utrwalony ślad” (*Zapieczatliionnyj trud*), poświęconej historii rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. W latach 1919-1920 zmarły jej siostry Olga i Lidia, oraz siostrzenica Wiera.

W połowie lat dwudziestych uczestniczyła w utworzeniu Rosyjskiego Towarzystwa Więźniów Politycznych i Zesłańców, którego inicjatorami byli: F. Dzierżyński, J. Rudzutak i J. Jarosławski. W 1928 r. powstało ponad 50 filii w różnych miastach.

W 1935 roku decyzją CKW ZSRR towarzystwo to zostało zlikwidowane. Pod dekretem widniał podpis M. Kalinina. J.

Rudzutaka represjonowano w 1938 r. pod zarzutem zdrady, szpiegostwa, współpracy z obcymi wywiadami i utworzenia łotewskiej partii nacjonalistycznej. Wydawnictwo towarzystwa zostało zlikwidowane, książki w nim wydane usunięto ze wszystkich bibliotek, a podczas rewizji w domach aresztowanych były nie tylko konfiskowane, ale też stanowiły materiał obciążający. Wierę Figner pozostawiono w spokoju, dano jej szansę spokojnego zamieszkania, ale poza Moskwą.

Uczestniczyła w działalności wielu innych organizacji społecznych. Nie otrzymała żadnej propozycji włączenia się do działalności politycznej. W 1922 r. w moskiewskim Muzeum Rewolucji bolszewicy zorganizowali z okazji jej siedemdziesiątych urodzin uroczystą akademię, a 14 marca 1926 r. z okazji 45 rocznicy zabójstwa cara Aleksandra II Wierze Figner przyznano honorową dożywotnią emeryturę jako uczestniczące zamachu. Emeryturę tę zwiększono w 1933 roku do 400 rubli.

W 1927 roku wśród grupy „starych rewolucjonistów” zwróciła się do władz sowieckich, M. Kalinina, J. Jarosławskiego i J. Stalina z żądaniem zaprzestania represji politycznych wobec eserów, członków partii kadetów (konstytucyjnych demokratów) i byłych partii narodnickich. Niestety, był to głos wołających na puszczy. Wśród represjonowanych był też jeden z jej krewnych, wnuk jej siostry Olgi. Został rozstrzelany w 1938 roku.

W 1932 r. z okazji jubileuszu 80-lecia wydano pełne wydanie jej twórczości w siedmiu tomach. Siedmiotomowe dzieło było przetłumaczone na wszystkie języki europejskie i przyniosło jej duży rozgłos. Jako chichot historii można przyjąć fakt, że dzieło o carskich organach politycznych, więźniach politycznych i zesłańcach wydano w czasie, gdy stalinowskie organa represji zaczęły już aresztowania i egzekucje pod sfabrykowanymi zarzutami szpiegostwa, zdrady, współpracy z ob-

cymi wywiadami, a NKWD pospiesznie organizowało system GUŁAG-u.

Była jedną z inicjatorek utworzenia w 1932 r. spółdzielni domów letniskowych pod Moskwą „Zelenowod”. Ośrodek oficjalnie miał być przeznaczony dla byłych więźniów politycznych i zesłańców. Ośrodek składający się z 25 domów ukończono w 1938 r. Wiera Figner mieszkała tam do końca lata 1941 roku. Z powodu stanu zdrowia wyjechała do Moskwy.

Do ośrodka już nie wróciła. Z 31 mieszkańców ośrodka 15 represjonowano w latach 1936-1938, dziewięciu spośród nich rozstrzelano, pozostałych zesłano do łagrów. W 1974 r. na domu, w którym mieszkała, umieszczono tablicę pamiątkową. Osiedle letniskowe przekazano innym organom.

Zmarła 15 czerwca 1942 roku na zapalenie płuc w wieku 90 lat. Została pochowana na cmentarzu Nowodziewiczym. Na własne oczy zobaczyła represje stalinowskie i ofiary kolektywizacji tego chłopstwa, w którym szerzyła oświatę i budziła ducha rewolucyjnego. Przeżyła czterech carów – dwóch Nikołajów i dwóch Aleksandrów, upadek domu Romanowów. Čwierć wieku przeżyła przy władzy radzieckiej.

Jak zauważył E. Radziński w książce poświęconej Aleksandrowi II: „Spośród sławnych postaci terroru przeżyją nieliczni skazani na bezterminową katorgę. Wiera Figner spędzi dwadzieścia lat, a Nikołaj Morozow – dwadzieścia trzy w Szlisselburgu. Dosięgnie ich jeszcze jedna kara. Dożyją do lat czterdziestych XX wieku i zobaczą na własne oczy „wspaniałe drzewo wolności” i „światlane czasy” zwycięstwa rewolucji w Rosji, o którym pisał zabójca cara Hryniewiecki idąc na śmierć. Zobaczą jak pod „wspaniałym drzewem” w stalinowskich łagrach zginie cała partia socjalistów-rewolucjonistów, umiłowanych spadkobierców „Narodnej Woli” i jak w „światlanych czasach” będą sta-

wiani pod ścianą na rozstrzelanie wspina-
li rewolucjoniści. I jak ginąć będzie w pie-
kle kolektywizacji chłopstwo rosyjskie.
Jednakże „uroczą parę” Stalin oszczędzi.
Będą pełnić obowiązki żywych muzeal-
nych eksponatów.

Na zakończenie tego przeglądu ko-
biet możemy poznać kobiety wykształ-
cone na Zachodzie i w praktyce realizu-
jące zasady terroru rewolucyjnego, któ-
re aktywnie włączyły się w budowę wy-
marzonego ustroju. W czasie wojny domo-
wej i w okresie wielkiego terroru były ich
co najmniej setki, nieomal każda guber-
nia miała swoje „bohaterki”. Niestety żad-
na z nich nie była warta tego, aby historia
o nich pamiętała, a społeczeństwo zach-
owało w pamięci i darzyło szacunkiem.

Aleksander Sołżenicyn nazwał je „fu-
riami czerwonego terroru”. Wszystkie
były socjopatkami, dla których życie ludz-
kie było mniej warte niż kule wystrzelone
w ofiary i chyba nie warto popularyzować
ich nazwisk. Oto przykład kolejnej z nich.

ZIEMLACZKA

Rozalia Samojłowa

Niezwykłe wyrazistą postacią, repre-
zentującą kobiety w aktywnym wdraża-
niu idei rewolucji, z mauzerem czy karabi-
nem w dłoniach, była Rozalia Samojłowa.
Kim była kobieta, która przeraziła okru-
cieństwem nawet F. Dzierżyńskiego? Bał
się jej nawet wszechmocny Ł. Beria! Nie
odważył się na radykalne działania Stalin!

Rozalia Samojłowa z domu Zał-
kind weszła do historii pod pseudonima-
mi „Ziemlaczka” (Krajanka) i „Demon”.
Drugi pseudonim oddawał jej niebywale
okrutną naturę.

Urodziła się 20 marca (1 kwietnia)
1876 r. w Kijowie w rodzinie postępowe-
go, zamożnego kupca pierwszej gildii, ży-
dowskiego pochodzenia, Samuela Załkin-
da. Ojciec miał kilka kamienic czynszo-
wych, bardzo modny i największy w Ki-
jowie sklep z galanterią dla elity w pre-

stiżowej dzielnicy miasta. Dziewczynkę
w rodzinie nazywali Różą. Ojciec bardzo
chciał zapewnić dzieciom wykształcenie
na najwyższym poziomie. Była najmlod-
sza z rodzeństwa, niebrzydka, choć na
podstawie zachowanych fotografii trudno
uznać ją za piękność.

Rozalia otrzymała staranne wykształ-
cenie domowe, później kontynuowa-
ła je w żeńskim gimnazjum w Kijowie.
W 1894 r. w wieku 17 lat ukończyła gim-
nazjum i została wysłana przez rodzi-
ców na studia medyczne na uniwersytecie
w Lyonie. Tam zobaczyła wolne od trosk
życie studenckie, wolny świat ze znacznie
większą swobodą obyczajową, wolnością
polityczną; porównała to do życia w Rosji.

Bardzo szybko Rozalia zrezygnowała
ze ślęczenia nad anatomią, bardziej zafa-
scy-nowały ją broszury rewolucyjne i im
poświęcała najwięcej czasu. Pierwszą re-
wolucyjną lekturą, która zrobiła na niej
duże wrażenie, była niezbyt błyskotliwa
broшура W. Lenina „Kim są «przyjaciele
ludu»?”, w której krytykował bezsensow-
ność idei narodnictwa.

Wówczas też podjęła decyzję, że nie
będzie podzielać losu ówczesnych kobiet,
dla których świat zamykał się w zaciszu
domu rodzinnego, ze wszystkimi proble-
mami i radościami. Postanowiła „służyć
rewolucji”, która w jej przekonaniu otwie-
rała bardzo szerokie perspektywy dla ak-
tywnych kobiet.

W 1901 r. pojechała do Szwajcarii,
aby nie tylko poznać Lenina, ale i zare-
komendować się „geniuszowi rewolucji”.
Nie wiadomo gdzie i kiedy poznała osobi-
ście Lenina. Raz we wspomnieniach pisa-
ła, że w Zurychu, innym razem, że w Ber-
nie. W rzeczywistości spotkali się w Mo-
nachium. Została agentką gazety „Iskra”,
wydawanej nielegalnie przez Lenina na
Zachodzie Europy. Między nią a Leninem
nawiązały się koleżeńskie (w jej przekona-
niu) relacje.

Ze strony Lenina był to cyniczny pragmatyzm. W spotkaniach nazywał ją „Ziemiaczką” (Krajanką), co stanie się jednym z jej pseudonimów rewolucyjnych. Zerwała wówczas kontakty z rodzicami, braćmi, którzy też zostali rewolucjonistami. Tylko dzięki dużym kwotom wpłacanym w charakterze kaucji wychodzili na wolność, by wkrótce powrócić za kraty.

Działalność rewolucyjną rozpoczęła jako siedemnastolatka. W wieku 20 lat wstąpiła do partii, od 1896 r. uczestniczyła w ruchu socjaldemokratycznym, została członkinią kijowskiej RSDRP (tj. Rosyjskiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej). Nie wiadomo, dlaczego tak szybko opuściła Francję. Lekarzem nie została.

Postanowiła pomóc wodzowi. Udała się do Kijowa (już jako członek RSDPR) i tam organizuje wydawanie „Iskry”. Mimo napiętych stosunków z rodziną – do pomocy finansowej zaangażowała ojca. Chociaż zachowywała wszelkie środki ostrożności, została aresztowana. Kiedy ją skazano, zażądała przeniesienia do pojedynczej celi.

Wkrótce więzienie zamieniono na katorgę. Tam poznała rewolucjonistę (w jednych źródłach jego nazwisko brzmi Berlin, w innych Samojłow; tego nazwiska będzie używać w przyszłości) i wyszła za niego za mąż. W swoich wspomnieniach raz pisała, że z litości, innym razem, aby wesprzeć chorego rewolucjonistę.

W więzieniu i na zesłaniu spędziła trzy lata. Kiedy nadarzyła się sposobność ucieczki, zostawiła go bez skrupułów i nigdy nie zainteresowała się jego losem (wiadomość o jego śmierci nie zrobiła na niej żadnego wrażenia). Już wtedy nie była zdolna do ludzkich uczuć. Obojętność i okrucieństwo kumulowało się w niej; nie potrafiła nawet lubić nikogo. Umiała tylko walczyć w imieniu wszystkich.

W 1903 r. partia się rozpadła na dwie frakcje – bolszewików i mieńszewików. Sympatia Zachodu była po stronie mieńszewików, a zatem i finanse. Lenin zna-



Rozalia Samojłowa Zemliaczka

lazł się w kłopotliwej sytuacji. Musiał się ukrywać. Wówczas „Ziemiaczka” zaproponowała mu swoją pomoc. Jeździła po Europie, przekonywała do racji bolszewików, poszukiwała środków na wydawanie gazety. W imieniu Lenina spotykała się z kołami rewolucyjnymi w Rosji, ze środowiskami robotniczymi. „Ziemiaczka” tryumfowała – sukces jej idola zależał od niej.

Pozwoliła sobie nawet na polemikę z nim. Napisała list, w którym bez jakichkolwiek metafor wyraziła swoje stanowisko. Lenin musiał ją przeprosić; co nie było w jego stylu i tego nigdy jej nie zapomniał. Mimo zasług – nie wybaczył. Jej aktywność w miastach rosyjskich zauważyła policja. W obawie przed aresztowaniem wróciła do Genewy.

Tuż przed rewolucją 1905 roku Lenin powołał Komitet Centralny partii, w którym nie było dla niej miejsca. Po upadku rewolucji liderzy bezpiecznie dekurują się za granicą. Na niebezpieczny odcinek organizowania ruchu rewolucyjnego w Rosji wysyłają „Ziemiaczkę”, mimo że w każdej chwili groziło jej aresztowanie.

Po rewolucji 1905 r., kiedy walczyła w powstaniu zbrojnym w Moskwie, przyłączyła do niej pseudonim „Demon”, który najtrafniej oddawał charakter tej ponurej osobowości: oschłej, zamkniętej w sobie, bez cienia uśmiechu, z wyrazem nienawiści na twarzy, niezdolnej do najmniejszej empatii, upajającej się władzą, szczególnie nad mężczyznami. Podczas walk na moskiewskich barykadach nauczyła się świetnie strzelać; tarczami byli żołnierze carscy. Tę umiejętność wykorzystała w przyszłości.

Tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej potajemnie wróciła do Rosji, aby kontynuować działalność, mimo że było to bardzo niebezpieczne dla niej. Lenin nie docenił jej poświęcenia i nie włączył jej ani do władz partii, ani do tworzonego rządu. Wtedy z zemsty na nim wsparła Stalina. Lenin i Trocki uważali, że bez doświadczonych oficerów armii carskiej nie uda się stworzyć nowej, profesjonalnej armii. Stalin był kategorycznie przeciwny tej koncepcji. Doszło później do jej pozornej ugody z Leninem, jak pisała we wspomnieniach, „po szczerej rozmowie”. Ale Lenin pokazał jej, gdzie jej miejsce. Została wysłana na Front Południowy do wykonania najbardziej haniebnego zadania.

W 1918 r. na Froncie Południowym sytuacja była bardzo skomplikowana. Czerwonoarmiejsi zajęli Kercz i przesmyk, na Krymie była armia Wrangla, trwała jeszcze ewakuacja ludności cywilnej. Wrangel ewakuował z Krymu prawie 146 tys. osób (w tym ponad 5 tysięcy rannych i chorych). Krymu nie chciało opuścić około 200 tysięcy osób, w tym wielu wojskowych.

Rozalia „Ziemiaczka” miała wówczas 44 lata. Została mianowana komisarzem, a następnie szefem wydziału politycznego ósmej i trzynastej armii Frontu Południowego. Przywracanie zdolności bojowej kompletnie zdemoralizowanej i nieoddoświadczonej, z ogromnymi brakami kadrowymi Armii Czerwonej, było niebywa-

le trudne. Została także sekretarzem partii Obwodu Krymskiego i zastępcą przewodniczącego Krymskiego Komitetu Rewolucyjnego.

Przewodniczącym z nieograniczonymi kompetencjami został były oficer armii austro-węgierskiej, trzydziestopięcioletni Bela Khun, „nieudany wariant Lenina” rewolucji węgierskiej, który stworzoną republikę utopił we krwi po 133 dniach i ratował się ucieczką do Piotrogradu. Bolszewicy przysparzali rewolucjonistę, powierzając mu wysokie stanowiska. Krwawe doświadczenia wykorzystał w duecie z „Demonem” na Krymie. Listopad 1920 roku przyjęto oficjalnie uważać za koniec wojny domowej, rozpoczęto nową – z własnym narodem.

Na Krymie pozostała część białogwardystów. Jedni nie zdążyli się ewakuować, inni nie chcieli opuszczać ojczyzny, oddali broń i gotowi byli służyć w nowej armii, jeszcze inni uwierzyli w szczerość Michała Frunzego, wyrażoną w telegramie do Wrangla, w którym obiecał im życie i wolność. Dał słowo honoru, że nie dotkną ich żadne represje, pod warunkiem, że złożą broń i obietnicę nieuczestniczenia w dalszych walkach, zgłoszą się w wyznaczonych punktach i wypełnią stosowne ankiety. Obietnicę tę powtarzał w rozrzucanych ulotkach.

Oficerowie nie podejrzewając pułapki zgłaszali się do punktów rejestracyjnych, w ankietach podawali dane personalne (w tym stopień wojskowy, adres lub miejsce pobytu). Zadawano im także pytanie: dlaczego nie ewakuowali się z armią Wrangla? Represje były przewidziane dla uchylających się od rejestracji.

Tej inicjatywy Frunze nie skonsultował z Leninem. Kiedy ten dowiedział się o takiej łagodności wobec „wroga klasowego”, wpadł w furję. Dopóki trwało wyjaśnianie, do akcji przystąpili patologiczni sadyści: „towarzyszka Demon” i Bela Khun. Towarzyszyło im 1360 oprawców

zahartowanych w wojnie domowej, będących krwawymi wykonawcami poleceń tej pary.

Listy rejestracyjne okazały się listami skazanych. Jednych aresztowano zaraz po ich wypełnieniu, innych po kilku dniach zmuszano do ponownej rejestracji; urządzano przesłuchanie, część odesłano do łagrów na dalekiej Północy, gdzie najczęściej ginęli na stepach, rozstrzelani przez konwojentów, którzy nie mieli ochoty konwojować na piechotę tysiące kilometrów „wrogów ludu”, a rozstrzelanie można było wytłumaczyć próbą ucieczki, atakiem nieznanej bandy, czego nikt nie sprawdzał. Niezarejestrowanych, których ujawniali donosiciele, rozstrzeliwano natychmiast.

Brano ich wprost z domów, polowano na nich na ulicach i w miejscach publicznych. Natychmiast rozpoczęły się masowe rozstrzeliwania. Towarzyszka „Demon” znudzona papierkową robotą chętnie brała do ręki mauzer, a kiedy nie była zadowolona z liczby rozstrzelanych – stawiała przy karabinie maszynowym i „wyrabiała normę”. Była niezwykle odporna na zmęczenie, jej dzień pracy trwał nawet po 20 godzin i do tego zmuszała swój oddział egzekucyjny. Nie znosiła sprzeciwu, opornych surowo karała.

Ofiarami byli nie tylko oficerowie i żołnierze. Rozstrzeliwano chorych i rannych w lazaretach, łącznie z personelem medycznym („za pomoc wrogom ludu”), emerytowanych oficerów, którzy po służbie zamieszkali na Krymie, poetów, pisarzy, malarzy, byłych urzędników. Tylko w ciągu pierwszej zimy rozstrzelano 96 tysięcy osób (cała ludność Krymu liczyła wówczas około 800 tysięcy). Powodem do rozstrzelania było ziemiańskie lub polskie pochodzenie. Ponadto w kręgu podejrzanych znalazła się ludność cywilna, która znalazła się na Krymie przed wkroczeniem Wrangla, tzw. „byli”. Ofiarą padli także klasowo bliscy robotnicy portow-

wi, którzy pomagali przy załadunku statków, kiedy Wrangel prowadził ewakuację. Ofiary wieszano nie tylko na latarniach i drzewach, ale nawet na pomnikach.

Chorych i rannych wynoszono z lazaretów i rozstrzeliwano. Przed rozstrzelaniem ofiary rozbierano do bielizny, odzież konfiskowano: „przyda się nowej władzy”. Tylko oficerów rozstrzeliwano w mundurach z pagonami i dystynkcjami. Trupów nie grzebano, leżały wszędzie, a kursanci szkoły kawaleryjskiej, przyszli czerwonoarmiści, urządzali sobie wycieczki, przeszukiwali zwłoki i wybijali kamieniami złote zęby. Podobno ich „urobek” był całkiem okazały.

Grabieżami zajmowali się także przywódcy. Khun wysyłał zagrabione mienie na Zachód, towarzysza „Demon” do Moskwy. Kiedy brakowało amunicji, Rozalia „Ziemlaczka” wydała rozkaz topienia w morzu. Stwierdziła, że „dla takich szkoda nabojów”. Ofiary ładowano na barki i albo z kamieniami u nóg zrzucono je do morza, albo też topiono całe barki. Jak zeznawali nurkowie, zwłoki, zatopione w płytkiej wodzie, bez trudu były widoczne w pozycji stojącej na dnie; niektórzy na ten widok doznawali urazu psychicznego. Do dziś są różne dane dotyczące liczby ofiar. Oficjalnie podaje się 52 tysiące, ale bolszewicka historia liczyła tylko „element białogwardyjski”, natomiast ludności cywilnej, kobiet, dzieci i starców nie liczone. Najbardziej wiarygodne szacunki mówią o około 150 tysiącach.

Iwan Szmielow, który bezskutecznie poszukiwał syna, rozstrzelanego bez śledztwa i sądu w 1921 r., we wstrząsającej epopei „Słońce martwych” (1924 r.) pisał: „Morze Czarne szybko stało się czerwonym, a straszna baba Jaga zmiotła Krym żelazną miotłą”. Jego powieść jest requiem po tych ofiarach. Swoją utwór opublikował na Zachodzie w 1924 roku. Tematykę tragedii krymskiej poruszył także Iwan Bunin w „Strasznej opowieści”,

wydanej w 1926 r. (laureat Nagrody Nobla w 1933). Niektóre jej motywy znalazły się w filmie Nikity Michałkowa „Słoneczny udar” (2014).

Kolejną tragedią Krymu był straszliwy głód od jesieni 1921 do wiosny 1923 roku, który pochłoniął kolejne 100 tysięcy. Skutkiem tysięcy niepogrzebanych zwłok była epidemia.

Krwawe zasługi towarzyszkii „Demona” wyjątkowo wysoko ocenił Lenin. Uznał ją za „wzorzec i najwierniejszą adeptkę terroru rewolucyjnego”. Jako pierwsza kobieta otrzymała pierwszy order nowej władzy – order Czerwonego Sztandaru. Także B. Khun otrzymał znakomitą synekurę we władzach Kominternu. Jednak Stalin rozprawił się z nim w latach wielkiego terroru, mianowicie został skazany przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR i po torturach został rozstrzelany w 1938 r.; bynajmniej nie za bestialstwo na Krymie.

A „Rozalia Ziemiłaczka” po zakończeniu rzezi na Krymie spodziewała się wielkiej kariery w Moskwie. Niestety, najwyższe szczeble władzy były dla niej niedostępne. Jako działaczka rewolucyjna z długoletnim stażem szybko zorientowała się, że znalazła się na peryferiach ówczesnej nomenklatury. Rozgoryczenie i frustracja w niej narastały. Odczuwało to jej otoczenie.

W 1921 r. została sekretarzem Zamojskowskiego Komitetu Dzielnicowego WKP(b). Później na podobne stanowisko wysłano ją do Permu. Pewnym awansem było mianowanie jej na członka Narodowego Komitetu Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej i na członka Komisji Kontroli Partyjnej. Szczyt jej aktywności partyjnej przypadł na lata wielkich czystek i stalinowskiego terroru. Kontrolowała pracę organów państwowych w całym kraju. Okres jej szczególnej aktywności przypadł na lata wielkich czystek i represji. Kontrolowała i gorliwie uzupełniała listy „wrogów ludu”, osób o „burżuazyjnym pochodze-

niu”, „elementów obcych klasowo i ideowo”, podejrzanych nie tylko o kontakty z Trockim, ale nawet o „sympatyzowanie z nim”, itd. Ofiary jej aktywności były przeznaczone do rozstrzelania lub do katorżniczej pracy w łagrach. Była inicjatorką wielu czystek partyjnych, pozostała tak samo bezwzględna, całkowicie obojętna na cierpienie ludzkie, konsekwentna i bez poczucia winy. Nadal żadna władzy i taka była potrzebna Stalinowi.

Po latach wielkich czystek zwolniło się wiele stanowisk kierowniczych i zaistniały widoki na awanse dla gorliwych działaczy. W 1939 roku została kierownikiem Komisji Kontroli Partyjnej. Kontrolowała pracę organów państwowych w całym kraju. Los się do niej uśmiechnął na XVIII zjeździe partii – została członkiem KC WKP(b), a w 1939 r. zastępcą przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych (odpowiednik wicepremiera). Lecz karierą nie zdążyła się nacieszyć. W 1943 r. Stalin skierował ją do pracy w Komitecie Kontroli Partyjnej przy KC WKP(b), bez obowiązku przychodzenia do pracy; mimo to zjawiała się codziennie.

W swojej karierze zawsze była na drugim planie – wieczny zastępca... Kierownictwo radzieckie uznało ją za zasłużonego członka partii, podkreślając jej szczególne zaangażowanie w walkę z „wrogami ludu”, ale wkrótce odesłano ją na emeryturę. Nadal mieszkała w słynnym domu nad rzeką Moskwą (opisanym przez Jurija Trifonowa), zbudowanym w 1931 roku dla partyjnej nomenklatury i setkami pisała donosy i skargi na sąsiadów. Jednym z nich był N. Chruszczow. Panicznie bali się jej nawet przedstawiciele najwyższych władz partyjnych. Do końca życia pozostała dziwna i straszna.

Napisała bardzo tendencyjne, niezwykle patetyczne i nie do końca prawdziwe „Wspomnienia o W. I. Leninie”, w których akcentowała swą przyjaźń i zasługi wobec „wodza światowego proletariatu”. Nie-

którzy twierdzą, że to była jej polisa ubezpieczeniowa, która uchroniła ją od represji w latach wielkiego terroru. Nie zapomniana też nadmienić o zasługach dla Stalina w 1914 r. w Baku.

Nic nie wiadomo o jej życiu osobistym, o najniewinniejszym nawet flircie. Te sprawy we wspomnieniach pomija milczeniem, lub podaje różne wersje, jak chociażby sprawę małżeństwa podczas zesłania.

Zmarła w ten sam dzień, co jej idol Lenin – 21 stycznia 1947 r., w wieku 70 lat. Jak wszyscy najokrutniejsi oprawcy bolszewicy została pochowana pod Murem Kremłowskim. Ulicę Bolszaja Tatarskaja przemianowano i nadano jej imię, lecz w 1992 r. przywrócono poprzednią nazwę. Bela Khun nadal ma swoją ulicę w Petersburgu. □

Bibliografia

1. Шмелёв И. С., »Солнце мертвых« (wyd. 1 w 1922 we Fran-

cji; wyd. 2 Moskwa). изд. Время 2018; серия Проверено временем, коллекция: Классика времени;

2. A. Andruszkiewicz, »Kierenski. Czerwony liberał«; wyd. Bellona, Warszawa 2016;

3. E. Radziński, »Aleksander II. Ostatni wielki car«; przekład E. Siemaszkiewicz, R. Śliwowski, wyd. Magnum, Warszawa 2005;

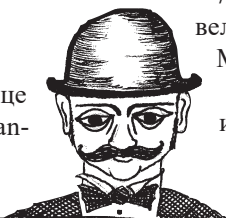
4. Фигнер В. Е., »Запечатленный труд«, Москва 1964; wydanie polskie: Figner Wiera »Trwały ślad«, przekład Julia Miłkowska, M. Wierchowski, Warszawa 1962;

5. Фигнер В. Е. »Шлиссельбургские узники. 1884-1905 гг. Москва 1920«;

6. Литвинов Н. Д. »Террористические организации: формирование и деятельность«; Воронеж-Москва 1999;

7. Кайдыш-Лакшина С. Н., »Судьбы великих русских женщин«; Москва, Мартин 2005;

8. И. Бунин »Окаянные дни«; изд. Молодая гвардия, Москва 1991.



TEOLOGICZNA DYPLOMACJA

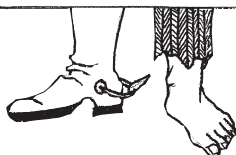
Kardynał Richelieu słynął z uprzejmości dla kobiet. Pewnego dnia na przyjęciu zwrócił się do swojej sąsiadki:

- Pani jest aniołem!
- Ależ Eminencjo, nie zasługuję na taki komplement!
- To nie jest komplement dla pani, tylko dla anioła!

UZASADNIENIE

Pani d'Houdetot spytała raz Woltera, czy istnieje różnica między pięknem i dobrem, a jeśli tak, to jaka.

- Owszem. Dobro wymaga dowodów, piękno... nie – odparł filozof.



ANDRZEJ WITKOWICZ

OKRUTNE (I CZASEM DZIWACZNE) OPOWIEŚCI Z DWORU „OBROŃCY CHRZEŚCJAŃSTWA”, CZYLI PAMIĘTNIKI SARNECKIEGO

Tytułem wstępu

Kazimierz Sarnecki (ur. przed r. 1670, zm. po r. 1712) znany jest jako pamiętnikarz polski z końcowych lat panowania Jana III. O samym autorze, rezydencie podkanclerzego litewskiego Karola Stanisława Radziwiłła na dworze monarchy, a potem także sekretarzu królewskim, wiadomo stosunkowo niewiele. Ważna jest jednak praca, jaka po nim pozostała.

Pisma Sarneckiego powstały w okresie jego pobytu na dworze króla w latach 90. XVII w. Pisał je zatem w Warszawie, Żółkwi i Lwowie, a także towarzysząc ostatniej wyprawie wojennej Jana III do Mołdawii w r. 1691.

Te tzw. pamiętniki są w istocie złożone z trzech części: obszernych fragmentów dziurysza (wysyłanych co tydzień K. S. Radziwiłłowi), relacji w formie listów i załączników. Pisma Sarneckiego zostały wydane ponownie piętnaście lat temu w kolekcji *Kroniki Polskie* przez Oficynę Wydawniczą FOKA. Na okładce każdego tomu znajdujemy słowa, jakimi redaktor naukowy, prof. dr hab. Stanisław Sierpowski, scharakteryzował krótko wydane pozycje:

20-tomowa kolekcja „Kronik i pamiętników” obejmuje szczególnie ważne dzieła, które są nie tylko świadectwem naszej historii, ale od lat kształtują naszą tożsamość narodową. Dzieła te uczą nas patrzenia i interpretowania historii. Ale ich wielki kunszt literacki uczy też posługiwania się piękną, wzorową polszczyzną. Dlatego każdy Polak powinien mieć zbiór tych kronik i pamiętników w swojej domowej bibliotece.

O ile można zgodzić się z tą oceną w odniesieniu do wielu pozycji kolekcji, to w przypadku pamiętników Sarneckiego jest ona nieco myląca. Po pierwsze, trudno mówić o jakimkolwiek kształtowaniu tożsamości narodowej przez lekturę Sarneckiego. Pierwsze wydanie pamiętników zawdzięczamy profesorowi Januszowi Wolińskiemu (Ossolineum 1958 r.), lecz sam ten fakt także nie uczynił ich popularną lekturą. Nie trafiły one ani do szkół, ani do podniosłych przemówień, a korzystający z nich stosunkowo nieliczni historycy wykorzystywali je czasem w niezbyt chlubnych celach (choćby przy konstruowaniu mitologii wzmiankowanej przez Sarneckiego bitwy pod Hodowem). Przy okazji można tylko ubolewać, że w swoim czasie Boy nie miał możliwości zapoznania się z opowieściami tego pamiętnikarza. Ileż zyskałyby na tym rozdziały *Marysieńki Sobieskiej*...

Pamiętniki Sarneckiego pozostawały więc – i dalej pozostają – poza świadomością historyczną przeciętnego Polaka (w przeciwieństwie choćby do współczesnego mu Jana Chryzostoma Paska). Nie ma w nich również nawet cienia „kunsztu literackiego”, a konia z rzędem należy dać temu, kto znajdzie w nich elementy „wzorowej polszczyzny”.

Styl diariusza i relacji nie jest wzorem błyskotliwej i porywającej narracji – ocenia we wstępie do pamiętników dr Michał Zwierzykowski. To słuszna ocena, choć bardzo delikatna. Sarnecki, starając się sumiennie wykonywać swą pracę rezydenta, bardzo często koncentrował uwagę na ciekawostkach i drugorzędnych szczegółach. A pisał przy tym polszczyzną gęsto popsutą łańskimi makaronizmami, budując niekiedy zdania zaiste monstrualnej długości. W efekcie język pamiętników nie ma niczego wspólnego z *piękną, wzorową polszczyzną* i może być chwila mi zupełnie niezrozumiały dla współczesnego czytelnika.

Jednakże te właśnie kwestie stanowią o wartości pamiętników Sarneckiego. Daje on bowiem obraz Sarmacji odbrazowanej. Miłośnik wojen rzecz jasna znajdzie w jego relacjach trochę informacji na temat ówczesnych bitew i potyczek (choć wizerunek ich jest zwykle mocno zniekształcony). Lecz Sarnecki nam przedstawia też mniej znany obraz czasów Jana III. Jego narracja dotyczy w dużym stopniu życia dworu monarszego od „kuchni”. Jest w niej oczywiście nieco wiadomości o polityce wewnętrznej czy intrygach pałacowych. Zdecydowanie więcej jednak można dowiedzieć się na temat życia codziennego na dworze królewskim, o zabawach, rozrywkach, chorobach, prezentach, plotkach i przesądach. To właśnie takie wydarzenia skupiały uwagę nie tylko Sarneckiego, ale i wielu innych przedstawicieli ówczesnych „elit” (w tym starzejącego się króla). Pamiętniki dają więc miarę horyzontów i możliwości intelektualnych Sarmatów. Dają też obraz ich języka. A przy tym równocześnie pokazują inny świat, świat ludzi spoza kręgu uprzywilejowanych – kucharzy, służbę, kupców, a nawet tatarskich niewolników. Z ich działaniami, uczuciami i tragediami. Tym właśnie kwestiom warto poświęcić więc trochę uwagi.

Wybrane fragmenty, jak sądzę, są bardzo wymowne, a zatem nie potrzebują długich komentarzy...

Kazimierz Sarnecki, *Pamiętniki z czasów Jana Sobieskiego*, tom I i II, Wrocław 2010. W nawiasach tłumaczenia wyrazów i zwrotów łacińskich – JK.

Murwa

Porucznika wybrańców żółkiewskich, który ma gubernę nad niewolnikami, Skałkę mianowanego kazał król jm (jegomość) wziąć pod wartę, a to o to, że dziewczkę pewną, którą udano (posądzono – red.), że z cudzym mężem niecnoty płodziła, kazał do Tatarów wsadzić między niewolników, którą gdy tam wepchnięto, miał mówić do Tatarów: „obcujcie z tą murwą, bo który nie będzie, to pewnie sto plag weźmie”. Sześć tedy brytanów na nią się rzuciło, tak że onę dziewczkę skrwawili, aż gwał-

tu wołała. Co gdy usłyszeli ludzie, donieśli j.k.m. (jego królewskiej mości). Uczyniona inkwizycja (śledztwo) pokazała niewinność onej dziewczki, która jeszcze ante inviolata fuit (dotąd była dziewicą), i owa, która ją udała, nie zgadła, żeby była tak, dopiero z turmy tatarskiej tę próbę pocziwości wzięła. [Sarnecki, I, s. 161]

Niesforny Francuz

Ten Francuz, który się był przed dwiema tygodniami obiesił (powiesił), i po śmierci dziwów robić nie przestaje, z po-



J.P. Norblin – z cyklu: *Polska Szlachta*

czątku bowiem, zaraz po pierwszej nocy po obieszeniu, przyszedł był do warty kunkickiej około właśnie północy i spytał ich o suknie swoje, potem skoczył ku kaplicy i zniknął. Dziś znowu dziwniejszą sztukę uczynił. Statki pewne powracając ze Gdańska, stanęły blisko szubienice pod Warszawą na noc, z których gdy na jednej dano jeść flisom kaszę około dziesiątej w noc, aliści usłyszają głos: „Wara stąd”, po kilka razy, czego gdy nie aprehendowali (nie przyjmowali) chłopci, aż wtem w sam właśnie sagan, z którego kaszę jedli, wpadł pomieniony Francuz z góry, powróż mający na szyję, którym go kat pod szubienicę wywłókł z miasta. Na który dziw chodziło pospólstwo; którego potem utopiono w Wiśle. [Sarnecki, I, s. 40-41]

O Francuzie, co w kasze flisom wpadł, publica tylko fama po mieście była, in-

kwizycyjej żadnej o to nie czyniono, bo to nocna była akcja, a nazajutrz rano te statki odesłi, nie wiedząc czyje. Była i ta fama, że z tym Saganem miano pochować onego, którego potem ziemia wyrzuciła, i na to inkwizycyjej nie było. [Sarnecki, II, s. 324]

Kastracja

Imp. (jegomość pan) marszałek nadw. kor. śpiewaczka swego kazał rznąć Symontemu przy inszych Włochach, z których jeden ksiądz był; tego natenczas za nogę trzymał; za to suspensus (zawieszony) od jm. ks. nuncjusza a divinis (od sprawowania nabożeństw); na co król jm. i księżna jm. Dobrodziejka bardzo amarykowała (gorzko narzekała), że to uczynił w mieście tym, ile pod boki pańskim sub poena excommunicationis (pod karą ekskomuniki); ale żyje i wesoły jest, z tym wszystkim, ten chłopiec. [Sarnecki, I, s. 43]

Niedobra kobieta

Krawcowa, mieszcza warszawska, że ją mąż wybił postronkiem za pijaństwo, już się była obiesiła fartuchem w kominie i pewnie by się była zadusiła, gdyby ją dziewczka nie oderwała, za co ją p. mąż lepiej egzorcyzmował i tego diabła wygnał, co jej dopomagał do śmierci takowej. [Sarnecki, I, s. 43]

Kąpiel niewolnika

Tego dnia rano czterech Lipków (Tatarów litewskich - red.) kąpało się w Wilanowie w kajdanach, w dzień właśnie swojego bajeranu (bajram po turecku post, arab. ramadan). Z tych napadłszy na dół utonął. Było trochę hałasu na wartę, że im była dopuścić kąpać się. [Sarnecki, I, s. 53]

Zbrodniczy kucharz

Kucharz królowej jm. nożem pchnął pomocnika kuchennego tak dobrze, że o że-

bra złamał mu się wpół; wzięty ten hultaj in recenti crimine (na gorącym uczynku przestępstwa) powiedział: „żał się Boże, żem nie zaprawił królowej potrawy”; jest tedy in detentione (w areszcie), a pchnięty drugiego dnia umarł. [Sarnecki, I, s. 53]

Nurek

Jmp. Potocka, górnego fracymeru (fracymeru) dama, idąc na potrzebne miejsce, zdjawszy z palca dwa pierścienie i brekselkę (bransoletkę), zawinawszy w chustkę, włożyła one za sznurówkę, tam z jakiejś nieostrożności wypadły jej w to miejsce; gdy poszła do swego kąta, postrzegła, w lament, płacz. Z porady tedy kompanij jejmości chłopca sierotę wpuścić kazała w to miejsce, gdzie zanurzwszy się nie znalazł, narobił więcej zapachu aniżeli korzyści z swojej odwagi. Powiadają, że te pierścienie miały być od jmp. referendarza kor., niektórzy ichm. nazywają sekretnymi one amorami. [Sarnecki, I, s. 147]

Czarownice z Sochaczewa

Wczoraj zjawiła się tu dziewczyna lat 14 mająca, która czary powiada, że z nauki pewny baby, którą tu z nią przywieziono z Sochaczewa, umie: ta per confesata libera (zeznając dobrowolnie) przy księciu jm. kardynale, jm. ks. poznańskim, księżnej jm. dobrodziejki przed królestwem ichm. recognovit, że coitum 7 vicibus cum daemone commisit (oświadczyła, że odbyła stosunek płciowy siedmilkrotnie z diabłem) i że na Łysych Górach tany odprawowała. Ad probandum (do sprawdzenia) tedy jest przytrzymana; co się pokaże, futura (przyszłość) pokaże, futura pocztą oznajmię w ks. m. dobrodziejowi. [Sarnecki, II, s. 333]

Zbrodnia w Warszawie, czyli okrutni Włosi

Rybacy łowiąc ryby w piątek znaleźli żonę w Wiśle wachmistrza królowej jm.,

która zginiona w mieście obwołana była, zabita, mając kilkanaście ran sztychowych zadanych, z uciętymi nogami, z podnacinanymi rękami, z perłami na szyi, z pierścionkami diamentowymi na palcach, w kamizelce burkatelowej, z kilkunastą w kieszeni talerów bitych. Zabójstwo pokazało na Antoniego winiarza, Włocha, z którym z żoną jego prawowowała się de concubinato (o konkubinat) z mężem swoim. Ten zabójca z żoną uszedł był do Ś. Jana kościoła; ponieważ ecclesia voluntarios homicidas non protegit (kościół nie osłania dobrowolnych zabójców), wydani i do więzienia osadzeni. Już fassi sunt (wyznali), że ją po uczynionej immediate (niezwłocznie) w pomienionej sprawie komplancyj (zgodzie) zaprosili obiter (przy okazji) idącą mimo kamienice ich, tam obiad jadła i winem podpojona pro-



J.P. Norblin – z cyklu: Polska Szlachta



J.P. Norblin – z cyklu: *Polska Szlachta*

siła, aby się mogła u nich przespać. Semi-somnem (we śnie) tedy wziąwszy, ściągnęli na dół do sklepu i tam sama Włoszka szpadą, sam zaś siekierą onę rąbiąc zamordowali. Po której zbrodni zakopać ją mieli w piwnicy, ale im się nie zdało trupa mieć w domu dla strachu, więc tedy naradzili się kazać ja utopić w Wiśle. Nagotowawszy skrzynię, która że była przykrótsza na nią, nogi jej tam w piwnicy pucinali i do skrzyń włożyli, sub specie towaru na przewóz bielański furmanowi wywieść kazali pod wieczór. Furman tedy wywiózłszy skrzynię, tam zostawił. Tandem (wreszcie) Włoch, niby oczekiwając na mającą łódź po siebie podejść, trupa utopił, a skrzynię po wodzie puścił. Wsadzony także i sam mąż jest do wieży, bo o nim magna suspicio (wielkie podejrzenie), jakoby to z namowy z nim to stać się miało, ex quo (z czego) nieboszczka w takiej materijej z nimi miała sprawę, która i do męża swego, i do żony rzeczonego winiarza należała. Per revisionem (podczas przeszukania) w kamienicy naleziono i dół w piwnicy,

i niektóre instrumenta patrati criminis, vestigia (narzędzia dokonanej zbrodni, ślady) także nieboszczki: rękawiczki, fartuch etc. Samo królestwo ichm. summam (najwyższe) koło tego adhibet curam (dokłada staranie), aby et complices (wspólnicy) wyjawili się. [Sarnecki, II, s. 409-410]

Zabawa ludowa w Krakowie

Z poczty krakowskiej pisano też tu rem curiosam (o dziwnej sprawie), że tam w tłusty czwartek według zwyczaju swego owe baby, co wątroby smażone, pieczone na rynku sprzedają, poubierały się w srebrne łańcuchy i złociste suknie bławatne i bon tempo (na dobry czas) siebie wpół rynku krakowskiego z naporu uczyniły, wina mając w konwiach, i kogokolwiek złapać mogły, jakiegokolwiek człowieka podobnego do tej kompanijej, i księzdom non parcendo (nie darując), gwałtem brali onych i poili. Zowie się ta ich biesiada babi czomber, na którą kilkadziesiąt hultajstwa skupiwszy się wpół dnia owe łańcuchy i ubiór z bab gwałtem zdyjmowali, aż piechota zamkowa i ludzie ci, których poili i częstowali, potężną bronią odegnali od nich; kilkanaście trupem owych położyli, nabili, narąbali. [Sarnecki, II, s. 449-450]

Straszna żaba

Tu zaś woźnica królowej jm. zachorował na wnętrze. Temu, gdy doktor dał vomitorias (środki wymiotne), żaba przykra, chropowata gębą z niego wyszła żywa, która się w niej tak opierała, aż w zębach nogę uwięzła, ledwo ją ręką z gęby wyrwał gwałtownie. Skąd, z jakiej przyczyny tam się w tych wnętrznościach urodziła, dysputują o tym doktorowie, ten zaś chłop po tym wychodzie żaby zdrów dobrze i liber (wolny) od boleści wewnętrznych; wielkie beneficium naturae (podarunek natury). [Sarnecki, II, s. 450]

Co zatem – z życia „prostego ludu” – ciekawiło sarmackie elity? Nie praca przecież, dzięki której możliwy był cały barokowy przepych życia. Wspólnym mianownikiem dla wszystkich wybranych z pamiętników Sarneckiego fragmentów jest oczywiście „niezwykłość”. Anegdotyczna „niezwykłość” w rozmaitych wymiarach – przesądu, zabobonu, zbrodni, czy po prostu dziwaczного wydarzenia. Sarnecki podkreśla przy tym nawet szczególne zainteresowanie króla i królowej zbrodniczym włoskim małżeństwem czy cztertnastoletnią „czarownicą”.

Dla lepszego zrozumienia narracji Sarneckiego zaznaczmy jeszcze, że postacie z „ludu” nie mają imion. Nota bene przywilej ten kronikarz rezerwuje w ogóle dla niewielu osób, jednakże w odniesieniu do „plebsu” daje to szczególnie złowrogi efekt.

Stosunkowo wiele miejsca zajmuje opowiadanie o zbrodni dokonanej przez włoskie małżeństwo na żonie wachmistrza królowej (w które i sam wachmistrz mógł być jakoś zamieszany). Znajdujemy tam dokładne relacje z planów i działań zbrodniarzy (opis biżuterii ofiary, opis upychania trupa w skrzyni itd.). Zasadniczo zainteresowania Sarneckiego nie wychodzą jednak poza ramy dość obojętnego stosunku do istoty opisywanych wydarzeń.

Nawet, kiedy król nakazuje wziąć „pod wartość” porucznika Skalkę w tragicznej historii o „murwie”, nie znajdziemy w opisie sarmackiego kronikarza większej emocji. Oto, pod boki Jana III, gdy na rozkaz porucznika dokonuje się ohydny gwałt na niewinnej dziewczynie, to sam monarcha nie reaguje zbyt ostro. A przecież wszyscy pamiętają, jak potrafił być okrutny, gdy w swoim czasie dragon ze straży zabił mu „wydrę pana Paska” (eksponował to i Boy w swojej *Marysieńce*). Sarnecki nie wspomina o dalszym losie Skalki, ani owej dziewczynki (bez imienia). A jaki mógł być jej dalszy los? Kto wzięłby za żonę dziewczynę,

za którą poszła fama o zgwałceniu przez bandę Tatarów? Jedno, co mogło ją czekać, to rzeczywiście życie murwy...

Emocjonalna obojętność towarzyszy wzmiance Sarneckiego o zabiciu kilkunastu spośród *hultajstwa* w Krakowie, utopieniu się niewolnika w stawie, zabiciu pomocnika kuchennego (tu znacznie bardziej niepokoi kronikarza groźba kucharza wobec królowej). Z kolei opowiadając o nieudanym samobójstwie jakiejś krawcowej (bez imienia), Sarnecki wyraża wręcz satysfakcję, że ta nieszczęśliwa kobieta, maltretowana wcześniej przez męża – szczęśliwie „uratowana” – otrzymała kolejne, jeszcze lepsze „egzorcyzmy”.

Przesąd jest drugim istotnym wyróżnikiem zainteresowań Sarneckiego. W różnych miejscach swoich pism snuje on powieść o samobójcy Francuzie, który w roli upiora uprzykrzał życie flisakom wiślanym. Zdumiewające jest, że kronikarz ani razu nie sugeruje racjonalnego wyjaśnienia przemieszczania się trupa samobójcy (tj. zabawy w upiora podjętej przez pierwszych lepszych warszawskich urwisów). Podobnie wygląda zainteresowanie Sarneckiego cztertnastoletnią czarownicą i drugą „babą” (obie bez imion), które miały „stosunek” z demonami i tańczyły na Łysej Górze. I tutaj kronikarz – wraz z Janem III i Marysieńką – pozostaje wzorowym człowiekiem swojej epoki...

Inne, wybrane z pamiętników, krótkie anegdoty pozostają w kręgu spojrzenia Sarneckiego na otaczający świat. Opowieści o wykastrowanym chłopcu (*żyje i wesóły jest*), o zmuszonym do nurkowania w obrzydliwym szambie chłopcu (sierocie, by rodzice nie protestowali w razie śmierci) i żabie, jaka się woźnicy we *wnętrznościach urodziła*; są znakomitą ilustracją umysłowości królewskiego sekretarza. Ciekawostki, ciekawostki, niezwykłości, niezwykłości... Sarmatyzmu mniej, znane oblicze.

POLSKIE PARADOKSY

Powiedzieć, że życie to splot paradoksów, to tak jakby nic nie powiedzieć. Tak bardzo zabrnęliśmy w przeróżne ich formy, że już nauczyliśmy się ich nie zauważać. Oswoiliśmy je. Przesiąkliśmy zgubną w skutkach postawą, że i tak niewiele da się zrobić, a więc mniejsze paradoksy po prostu lekceważymy, niektóre nauczyliśmy się omijać, a te najgroźniejsze traktujemy tak, jakby nas nie dotyczyły. No cóż, można i tak, ale to jest niebezpieczne, bo zakłada naszą zgodę na groźne zjawiska odbierające nam podmiotowość i uczące marnego cwaniactwa. Marnego, bo w ostatecznym rozrachunku obracającego się przeciwko nam.

Przykłady? Proszę bardzo.

Dawno już przestały nas dziwić i obruszać wydarzenia związane z naszymi relacjami ze wspólnotą państw europejskich. Tak bardzo nas uwiera cały zestaw ograniczeń prawnych, dyscyplinujących wszystkie państwa UE – choćby w zakresie handlu, norm prawnych, polityki migracyjnej, przepisów celnych itd., itp. Prawdą jest, że posunięcia euro biurokratów mogą przyprawić o uczucie rozpacz, bo co mamy powiedzieć na rozważania na temat np. krzywizny banana, czy na fakt, że proponuje się, by raka uznać za... rybę? To przecież mądre nie jest, ale przy zgodnym współdziałaniu reprezentantów różnych państw można takie fakty wyrzucić do kosza z napisem „bezsens”. Samo narzekanie na biurokratów z Brukseli niewiele da, a może napsuć sporo krwi.

Inny przykład paradoksu bardzo źle świadczącego o naszych współrodakach. Chodzi o uchodźców z Ukrainy. Gdy w roku 2022 otworzyliśmy nasze serca i granice dla setek tysięcy biednych, głodnych, poranionych psychicznie ludzi, cała Europa patrzyła na nas z szacunkiem i podziwem. Staliśmy się jako społeczeństwo wzorem humanitarnych postaw. Nie trwało to jednak zbyt długo. Zaczęły się narzekania, wątpliwości,

w końcu akty wrogości wobec przybyszów zza wschodniej granicy.

Politycy (szczególnie najbardziej prawicowi i katoliccy) zaczęli podgrzewać nastroje ksenofobiczne i nietolerancji. Powszechną stała się narracja, że Ukraińcy odbierają nam pracę. Nikt jednak nie wspominał, że owi uchodźcy podejmują prace, których żaden Polak nie weźmie. Tu paradoks polega na tym, że jeszcze w drugiej połowie XX stulecia cała rzesza Polaków w ramach migracji zarobkowej (a także politycznej) na terenie RFN, Francji, Austrii i tzw. zamożnej starej Europy wykonywała podobne prace. Paradoks? Jak najbardziej. Na dodatek trzeba dodać, że pracujący u nas uchodźcy (nie tylko z Ukrainy) pracują tu w większości legalnie, odprowadzają podatki, a więc znacznie powiększają nasz polski PKB. A przestępstwa jakich dopuszczają się goście ze wschodu? Stanowią ledwie nikły ułamek tego, co można zarzucić naszym rodzimym zbirom.

A co z wysokiej klasy specjalistami w zakresie medycyny, informatyki, nauk technicznych? Czy ich także będziemy nazywać „nachodźcami”? Paradoks sprzężony z głupotą. Czy kobiety ukraińskie pracujące przy kasie w hipermarkecie uwzięły się pozbawić pracy nasze, polskie kobiety? Chyba nie, bo na wielu sklepach wiszą ogłoszenia z ofertą pracy. Paradoks? Jak najbardziej.

Kiedy słyszę buńczuczne pohukiwania stadionowych i kanapowych patriotów na temat niezłatwionych i nierozliczonych problemów natury historycznej (np. Wołyn), wiem, że tu jest bardzo wiele do zrobienia. Ciśnienie emocjonalne wciąż nie maleje. Nawarstwiło się wiele krzywd, niedomowień, półprawd, prawd – najczęściej porażających. Wrogość jednak tego nie wyciszy, nie uspokoi. Tu jawi się kolejny paradoks: zła, które się stało, nic już nie cofnie. Trzeba więc je uczciwie wyjaśnić, ocenić i zamknąć wresz-

cie wieko nad niejedną trumną. Pamiętać, by podobne paradoksy się nie powtórzyły.

My, Polacy jesteśmy w bardzo specyficznym, właśnie paradoksalnym położeniu, bowiem nie umiemy (a może nie chcemy) wyciągać wniosków z sytuacji, w których nie-

jednokrotnie mieliśmy tragiczny udział. Nasze zachowania, a szczególnie zachowania niektórych wybrańców narodu, jako żywo przypominają plucie pod wiatr. Na kogo spadnie?

Marchołat

PRZECZekać ŻYCIE

Moje wnuki przyłączyły się do prac „Szlachetnej Paczki”. Przez nasz dom przewinęła się całkiem spora grupa koleżanek i kolegów pochłoniętych realizacją programu. Z rozmów wynioskowałam, że pomimo prawie rutynowych działań sporo miejsca zajmują emocje. Nie te czułościowe, na pokaz, z okazji corocznych świąt itd. To było coś więcej, coś ponad banalny standard. Co jakiś czas grupa młodych pod wodzą moich wnuków wpadała do kuchni, wypijała wielkie ilości kawy i herbaty, a drobnym ciasteczkom oczywiście nie przepuściła. Przy okazji ścierały się poglądy i opinie. Spierało się zawzięcie. A o co? O to, jak to być bezradnym, biednym, chorym, zdanym na współczucie bliźnich lub całkiem nieznanym osobom.

Opinie były rozbieżne: od podejrzeń o tak zwaną wyuczoną bezradność po rzeczywistą sytuację bez wyjścia. Ktoś powiedział, że ma wątpliwości, czy pomagać komuś, kto mógłby sobie dać radę, gdyby nie uzależnienie np. od alkoholu. Dziewczyny zaoponowały gwałtownie, bo przecież ci ludzie bez pomocy upadliby jeszcze niżej, nie mówiąc już o ich rodzinach, dzieciach... Zresztą wolontariusze i inni odpowiedzialni ludzie z pewnością sprawdzają, komu mamy zamiar pomagać, ale czy to może dać wiarygodny obraz sytuacji? Czy sprawiedliwie jest dać pomoc komuś, kto na nią nie zasługuje, czy pominąć kogoś, kto być może jest „niemedialny”, a na dodatek po prostu wstydzi się przyznać do swej tragedii życiowej?

Młodzi zapytali mnie, czy miewam podobne wątpliwości. Trudno było o zdecydowaną, jasną odpowiedź. Każdy potrzebujący jest przecież inny, tak jak inni są wolontariusze oraz inni aktywiści „Szlachetnej Paczki”, nie mówiąc o darczyńcach. Przypomniałam sobie materiał reporterski któregoś ze stacji telewizyjnych. Ukazano ludzi w potrzebie, do których trafili ofiarodawcy i wolontariusze ze świątecznymi paczkami. Paczki były różne – od skromnych z ciepłymi skarpetami i środkami czystości aż po lodówkę.

Uderzyła mnie to, że niezależnie od wielkości paczki największą radość obdarowanych budził fakt, że ktoś do nich zawitał. Porozmawiał, uściśnął, przywołał na twarz dawno niewidziany uśmiech. To już nie był zwykły, szary, smutny dzień, który należało

przeczekać i już. Ten dzień był po coś. Przypominał, że się żyje. A że ciężko? No, cóż – takie jest życie.

Dotarło do mnie, że wielu z tych potrzebujących, szczęśliwie obdarowanych, wydobytch z kokonu samotności już w następnym roku włączyło się w wolontariat, poczuło moc działania dla innych. A rok wcześniej?

I wtedy przyszło mi do głowy, że przykład tych ludzi – i obdarowanych i darczyńców, i wolontariuszy – dałby się zamknąć w takiej myśli:

Życia nie można przeczekać, *życie należy przeżyć* – choćby czasem było smutno i trudno.

Babcia



ANDRZEJ KRZYSZTOF TORBUS

OKRUTNIE ZŁUDNE MARZENIA

Jak to byłoby pięknie
(tak myślą utopiści),
wertepy bez kolein,
nepoci bez korzyści.

Sekrety bez tajemnic,
podtekstów brak w oracjach,
cynadry bez kamieni,
kreatur brak w kreacjach.

Bez świąt państwowych święci,
bez stopni w bloku schody,
pamiętki bez pamięci,
bez kropli krople wody.

Wiraże bez zakrętów,
bez grzechów grzechotniki,
bez końca koniec końców
i bez klikania kliki.

DYPTYK NIEPOKORNY

I.

Ucichły hymny i fanfary
w ciszę się zapadł zgiełku krzyk,
ktoś popoprawiał memuary
inkaust z inkunabułów znikł.

Rozmyły sprytnie się kolory:
z czerwienią biel, a z żółcią czern.
w jałowy bezsens wpadły spory,
zardzewiał bagnet, stępił ciern.

Pejzaż się w pole wyprowadził,
buty nareszcie kupił szewc,
zmieszał się miód ze smołą w kadzi,
od dymu spuchł kaflowy piec.

Jedynie tylko słuszne sprawy
oliwy pokrywają wierzch;
lud Boży nie Ignie do zabawy
wieszczom na ustach uśmiech spierzchnął.

II.

Sknociły knoty się w gromnicach,
z duchownych duch wyzionął.
Kropelki wody w kropielnicach
nie stały wodą się święconą.

Pękły balony na Sylwestra,
widzom przestała grać orkiestra.
Kadzidło pakt zawarło z dziegiem
łuczycywem stając się gdzieniegdzie.

Z ambon prorocy odurzeni
strzelają chlebem do kamieni.
Niechający, jakby dla zabawy
manekin wymknął się z wystawy.

W klepsydrze piasek stanął ością,
dzień się zachłysnął codziennością.
Zdechły ze śmiechu metafory,
szydło rozpruło z juty wory.

Pies na złość oszczerstw nie odszczekał,
nie dotarł nie wysłany przekaz,
zaniechał pływów wredny księżyc,
kto wygrał nigdy nie zwyciężył.

Uleciał z dysput zgubny temat:
czy jeszcze jest czy już Go nie ma.
Jedynie Wódz ma ciągły zgryz:
co będzie, jak nie będzie nic?

GAZETA.PL:**longman81**

Uświadamiam wszystkim, że aktualne kłopoty finansowe wynikają z grabieżczych nierządów Złajdaczonej Prawicy, która grabiła III RP na niewyobrażalną skalę. Liczba osób zarabiających milion rocznie wzrosła z 13 tysięcy w 2015 do 73,5 tys. w 2023 roku, to o ponad 60 tys. więcej. To wzrost 5,5 krotny. Gdy uwzględnimy grupę 90 tysięcy osób zarabiającą rocznie od 600 tysięcy do miliona zł, to 160 tysięcy osób w 2023 r. grabiło skarb państwa na około 140 mld zł rocznie. A to 160 tysięcy to tylko drobna część kocurów pisowskich, których są miliony. Kocury pisowskie zarobiły przez te osiem lat biliony zł, często nie świadcząc żadnej pracy – brat Ziobro jako doradca PZU. III RP została ograbiona na biliony zł, które gdyby trafiły do gospodarki to nie mielibyśmy problemów z budżetem, służbą zdrowia, a zyskałoby znacząco bezpieczeństwo. Gdy doliczymy 200 mld zł za brak KPO i najdroższą energię elektryczną – skutek ustawy 10 H, to destrukcja jakiej się dopuściła ZP jest porażająca.

smiki48

A kto dał olbrzymie podwyżki lekarzom? To przez PiS większość lekarzy zarabia ponad 50 tysięcy miesięcznie. Dlaczego ostatnio ani jeden lekarz nie pokazał swojego rocznego zeznania podatkowego?

PAŃSTWO W PAŃSTWIE

Aby powstało odrębne państwo Watykan i otrzymało dużą sumę pieniędzy, papież sprzymierzył się z Benito Mussolinim. - Mieliśmy faszystów ze sztandarami w katedrze, mieliśmy papieża, który mówił o Mussolinim, że to opatrznoscowy mąż, którego zesłał nam Stwórca, który nie bratał się z liberałami i mieliśmy wi-

watujących Włochów - mówiła w TOK FM Karolina Lewicka.

Tak Kościół dał się wykiwać faszystom. Kulisy powstania Watykanu

11 lutego 1929 roku podpisano traktaty laterańskie - porozumienie, które położyło kres wieloletniemu konfliktowi między papieństwem a państwem włoskim. Stworzyły one niepodległe państwo - Watykan.

Był to efekt specyficznego sojuszu - pomiędzy papieżem Piusem XI a faszystą Benito Mussolinim. Jak mówił w audycji „Powrót do przeszłości” w TOK FM prof. Arkadiusz Stempin, „Mussolini jako zajadły antyklerykał zdyskontował głód papieża na ugruntowanie katolicyzmu w Italii”.

Tak powstał Watykan

- Mussolini był politycznym makiawelistą, właściwie antyklerykałem, który nabił się z Kościoła katolickiego. Ale lojalność Włochów, ich przywiązanie do religii katolickiej wyznaczyło mu ścieżkę postępowania, by uzyskać to, co jest istotą faszyzmu, czyli istotą populizmu - utrzymanie władzy za wszelką cenę - mówił w audycji „Powrót do przeszłości” w TOK FM prof. Arkadiusz Stempin, historyk i watykanista z Uczelni Janusza Korczaka w Warszawie oraz Albert-Ludwigs-Universität we Fryburgu.

Rozmówca Karoliny Lewickiej zaznaczył, że „to parcie do władzy populistów przypomina parcie plemnika do komórki jajowej - jest jednowymiarowe, prostoliniowe i idzie po trupach”. - A władzę trzeba było zdobyć i utrzymać w oparciu o tych Włochów, którzy zamieszkują półwysep, czyli katolików. Więc Mussolini musiał w jakiś sposób uśmiecchnąć się do papieża. Musiał zdyskontować ten katolicyzm Włochów, by ich ujarzmić, a przy oka-

zji wymóc na papieżu uzyskanie prawa do partyjnego monopolu. Sprytnie zagra-
nie Mussoliniego polegało na tym, że pod
płaszczkiem porozumienia politycznego
papież pomoże mu zdławić wielopartyj-
ność i uhonoruje go jako *de facto* dykta-
tora - relacjonował.

Papież i Mussolini w jednym byli po-
dobni Kościołowi mogły się zaś podobać
pewne elementy faszyzmu - hierarchia,
autorytet, porządek, popieranie rodzi-
ny, odrzucenie ideologii marksistowskiej.
Chciał także uzyskać osobowość prawno-
-państwową. - Natomiast to porozumie-
nie polityczne nie byłoby możliwe, gdy-
by nie fundament, na którym ten politycz-
ny alians oparto - na wspólnocie wartości,
jaką była oczywiście pogarda dla demo-
kracji - podkreślił prof. Stempin.

Jak dodał, „ten klerykalno-faszystow-
ski miks powstał oczywiście w oparciu
o *deal* pomiędzy antyklerykałem Musso-
linim, a fanatycznym maryjnym papieżem
Piusem XI, który uzyskał od Mussolinie-
go finansowanie kleru i zgodę na religię
w szkołach”.

- I całą taką grę, która nam się wy-
daje w tej chwili dosyć śmieszna, dzi-
waczna, kuriozalna, ale która 100 lat
temu była takim kodem kulturowym, po-
legającym chociażby na tym, że kobie-
ty nie mogły nosić spódnic krótszych niż
do kolana. Noszono też wtedy dekolty,
zwłaszcza z tyłu. Tu również papież wy-
negocjował od Mussoliniego, że taka poli-
cja obyczajowa będzie ścigała na ulicach
co odważniejsze Włoszki. Do tego do-
chodził grzech czytania frywolnych ksią-
żek czy oglądania hollywoodzkich filmów.
Wytworzyła się więc tu taka wspólnota
na gruncie obyczajowym pomiędzy ko-
ściołem a faszyzmem - opisywał watyka-
nista.

A U NAS?

W ogóle układ władzy jest taki, że tak
naprawdę nikt nad polskim Kościołem nie
panuje - komentuje Tomasz Terlikowski.

Gdy traktaty laterańskie zostały pod-
pisane, Włosi byli bardzo zadowoleni, że
ten konflikt pomiędzy Kościołem a ich
państwem dobiega końca. - Uroczystość
podpisania traktatów odbyła przy bar-
dzo niesprzyjającej pogodzie, bo wte-
dy w Rzymie po prostu lało jak z cebra.
Mimo to tłumy przybyły, żeby zakończe-
nie tego sporu świętować. I tu chyba mie-
liśmy w tym dniu takie właśnie połączenie
Kościoła i faszyzmu, bo mieliśmy faszy-
stów ze sztandarami w katedrze, mieli-
śmy papieża, który mówił o Mussolinim,
że to opatrznościowy mąż, którego zesłał
nam Stwórca, który nie bratał się z libe-
rałami i mieliśmy wiwatujących Włochów
- zauważyła Karolina Lewicka.

„Mussolini wykiwał Watykan”

Skończyło się jednak tak, że, jak
stwierdził prof. Arkadiusz Stempin, „Mus-
solini wykiwał, ograł, odryblował Watykan”.
- Nie dochował umowy, nie tyle tej umowy
dotyczącej terytorium i zobowiązań finan-
sowych, czyli tych dwóch głównych filarów
traktatów watykańskich, ale tego trzecie-
go filaru, czyli konkordatu zapewniającego
katolicyzmowi na Półwyspie Apenińskim
absolutną dominację - wskazał.

Jak tłumaczył, stało się tak, ponie-
waż te dwa totalitarne systemy się starły.
- Mussolini nie mógł zdzierżyć konkuren-
cji, zwłaszcza propagowanej przez papie-
ża Piusa XI Akcji Katolickiej, czyli formacji
trochę harcerskiej, trochę skoszarowane-
go katolicyzmu włoskiego, dostępnej mło-
demu pokoleniu. Bo Mussolini chciał mieć
młodych faszystów, a nie młodych katoli-
ków wychodowanych w tym inkubatorze
Akcji Katolickiej. I o to rozbiła się później
między papieżem a Mussolinim wspól-
nota interesu i wspólnota wartości. Ponie-
waż zgodnie z istotą totalitarnego syste-
mu obydwie strony chciały wychować na-
rybek wyłącznie dla siebie - podsumował
prof. Stempin.

„Kościół potrafi być okrutny”. Stani-
sław Obirek o tym, jak wygląda odcho-
dzenie z zakonu.



Hitler, Mussolini i w Monachium w 1938.

Skończyło się to tak, że Plus XI już w 1931 roku odpowiedział Mussoliniemu, który zaostrzył politykę wobec Kościoła, encykliką potępiającą faszyzm. Watykan utrzymał jednak swoje państwo do dziś.

Był to efekt specyficznego sojuszu - pomiędzy papieżem Piusem XI a faszystą Benito Mussolinim. Jak mówił w audycji „Powrót do przeszłości” w TOK FM prof. Arkadiusz Stempin, „Mussolini jako zajadły antyklerykał zdyskontował głód papieża na ugruntowanie katolicyzmu w Italii”.

Skończyło się to tak, że Plus XI już w 1931 roku odpowiedział Mussoliniemu, który zaostrzył politykę wobec Kościoła encykliką potępiającą faszyzm. Watykan utrzymał jednak swoje państwo do dziś.

Źródło: Marta Zdanowska, dziennikarka portalu tokfm.pl.

dendrologia.lipy - do kazania abpa J. w Święto Niepodległości - stand up Jędraszewskiego:

14% do piekła. Reszta może iść w pokój. Arcybiskup Jędraszewski znów wziął mikrofon i jak zawsze nie zawiódł. Tym razem w kazaniu padła liczba: 14% Polaków nienawidzi Polski. Trudno orzec, czy to wynik objawienia, badania socjologicznego czy pomiaru temperatury w piekle, ale jedno wiemy na pewno: brzmi jak tytuł nowego horroru w reżyserii Episkopatu. Oczywiście, Ekscelecja nie podał źródła, bo po co. Cytaty są dla niedowiarzków. Ale my, heretycy i statystycy, zajrzeliśmy tam, gdzie biskup raczej nie zagląda, do raportu Czy i jak identyfikujemy się dziś z Polską? opublikowanego w 2023 roku. I cóż się okazuje? Wynika z niego, że 28% Polaków to tzw. wycofani pesymiści, czyli ci, którzy są zbyt zmęczeni, żeby się jeszcze ekscytować flagą, hymnem czy wieczną wojną o krzyż w każdej klasie. 23% to otwarci tradycjoniści, którzy jakimś cudem potrafią łączyć orla z empatią. 20% to spełnieni demokraci, czyli najpewniej ci, którzy nie krzyczą Polska dla Polaków przy każdej okazji. 15% to zaangażowani konserwatyści, a te mistyczne 14%, które tak rozsierdziły arcybiskupa, to zawstydzeni Polak. I tu następuje teologiczna akrobacja: zawstydzenie = nienawiść. Bo jak ktoś się wstydzi, to przecież zaraz podpala konstytucję, maluje katedrę sprayem i zamawia tofu zamiast schabowego. Otóż nie, księżo arcybiskupie. Ci zawstydzeni to nie terroryści kulturowi, tylko ci, którym jest głupio, że ich kraj piękny, dumny, naprawdę wart miłości, jest tak często reprezentowany przez ludzi, którzy myślą ambonę z mównicą sejmową, a ewangelię z partyjnym przekazem dnia. Oni nie nienawidzą Polski. Oni nie chcą, żeby Polska musiała tłumaczyć się z księży. To różnica, wiem subtelna, a może nawet niebezpieczna dla systemu. A teraz najlepsze: ten duszpasterski stand-up do młodych w ogóle już nie trafia. Ani kazania o tę-

czowej zarazie, ani homilie o obcych ideologiach, które ponoć podgryzają Ojczyznę jak mol liturgiczny. Młodzi ludzie nie tylko się z tego śmieją, oni mają to po prostu gdzieś. A niektórzy, proszę wybaczyć brutalność, nawet nie wiedzą już, kim pan jest. I to może boleć bardziej niż bluźnierstwo. Bo jak to tak? Krzyczysz z ambo-ny, że naród się rozpada, że 14% zdradziło świętości, a jedyny odzew to TikTok z podpisem znowu ten dziad od wojen kulturowych? Trudne. Ale może warto przyjąć do wiadomości, że Polska się nie kończy wtedy, gdy ludzie przestają się bać arcybiskupa. Może po prostu zaczyna się inna, zdrowsza, mniej podzielona, bardziej autentyczna. Nie 14% nienawidzi Polski. To 100% z tych 14% po prostu ma dość przedstawiania Polski jako ciemnej pieczary obłożonej przez cywilizację zachodnią, młodzież, kobiety i węgalskie parówki. A może, księżo arcybiskupie, skoro tak lubi Pan liczby, to warto dodać jeszcze jedną: liczba pustych ławek w kościołach. Rośnie szybciej niż inflacja. I to nie przez Netflixa ani papieża. Tylko dlatego, że ludzie są już zmęczeni religijną wersją Wiadomości TV Republika. Zwłaszcza młodzi. Ich już się nie zawróci z powrotem kazaniem o genderze. Ich można co najwyżej rozbawić. Albo zasnąć. W najlepszym razie zignorować. Ale zawsze można sobie jeszcze coś dopowiedzieć. Na przykład, że to na pewno wina 14%, bo jak wiadomo, reszta nie ma prawa czuć wstydu. Tylko wdzięczność. I abonament na Radio Maryja.

Munaciello: najbardziej nienawidzić Polski muszą ci, którzy przyczyniają się do tego, że jako Polacy, tu zacytuję arcybiskupa, „będziemy znikać i rozplyniemy się pośród tych, którzy zajmą nasze miejsca, nasze miasta, wsie i domy”. Czyli kto? Kler katolicki.

Ienar78”:

Wg Słownika wyrazów bliskoznacznych być zawstydzonym, to nie to samo co nienawidzić. Dobrze, że KK nie wydał encyklopedii.

x2468:

Te 14% to watykańscy, którzy zabraniali Polakom buntu przeciwko pochodzącej od ich Boga władzy moskiewskiego cara.

Slovenskoo:

Katolicy napadli Polskę z południa 1.9.1939 wraz z chłopcami noszącymi pasy z napisem „Bóg z nami”, którym pod koniec wojny Watykan pomagał uciec przed stryczkiem przez tzw. „szlak / linia szczurów” (głównie do Ameryki Płd.). Potem koalicja faszystowska zaatakowała ZSRR m.in. pod pretekstem „obrony chrześcijańskiej Europy” - jakżeż podobne hasła co dziś używa PiS. Zawsze byłem porównywaniem czegoś z najbliższym porównywalnym. FASZYZM SŁOWACKI 1939-45 - REŻIM ks. JOZEFA TISO:

- katolicki ksiądz i polityk stojący na czele kraju (taki mix Kaczyńskiego z Rydzykiem), który przed ludem grał skromnego człowieka,

- pełny sojusz tronu z ołtarzem (tzw. „republika proboszczów”

- co 4-ty poseł był duchownym)

- religijny nacjonalizm (= Bąki, Ordo Iurisy itp.)

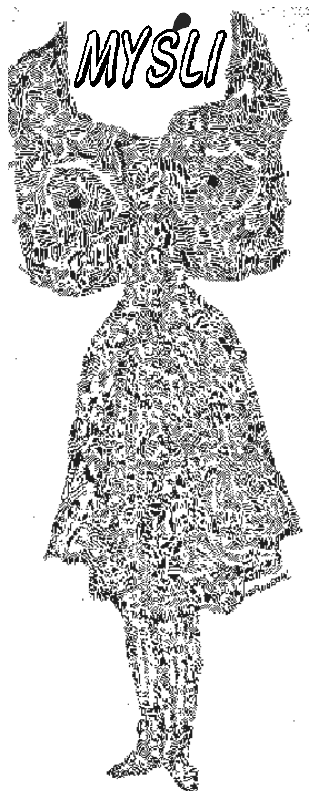
- reżim, który wyrósł ze zniszczenia mocno liberalnej Czechosłowacji i to był cel przywódcy przed dojściem do władzy (= adekwatnie walka z dzisiejszą UE)

- wprowadzenie: zakazu aborcji, prześladowania homoseksualistów i wtrącanie ich do obozów, krzyże w urzędach i szkołach, religia w szkołach, msze dla żołnierzy (= nakaz oglądania tylko TVP w jednostkach wojskowych - za PiS np. garnizon warszawski), niedziele niehandlowe

- odpustowy patriotyzm nacjonalistyczny

- reżim wywiózł w wagonach bydłych 80% swych żydowskich obywateli do KL Auschwitz (= Rydzyk i większość wolskich katolików nienawidzi Żydów)

- podczas okupacji polskiego Podhala we wrześniu 1939 jego wojska (tzn. prezydenta Tiso – red.) były witane kwiatami przez miejscowych (jeden z tzw. bastionów PiSu).



- Nie żałuj, że nie spełniły się twoje marzenia; pożałowania godnym jest tylko ten, kto nigdy nie marzył.

Marie von Ebner-Edchenbach

- Ci, którzy zbyt często zajmują się małymi rzeczami, stają się zazwyczaj niezdolni do wielkich.

François de Rochefoucauld

- Nasza moralność jest tylko sumą naszych przyzwyczajęń. Nie wolno zatem nazywać ludzi niemoralnymi tylko dlatego, że mają inne przyzwyczajenia.

George Bernard Shaw

- Prócz świata największą zagadką dla człowieka jest drugi człowiek.

Karol Irzykowski

- Tragedią współczesnego człowieka jest nie to, że wie on coraz mniej o sensie własnego życia, lecz, że coraz mniej zajmuje się tym pytaniem.

Vaclav Havel

- Nie każdy musi być wielkim człowiekiem. Być człowiekiem – to już bardzo dużo.

Alfred Capus

- Słynne brakujące ogniwo między małpą a człowiekiem cywilizowanym, to właśnie jesteśmy my.

Konrad Lorenz

- Człowiek stworzony jest na to, by szukać prawdy, a nie by ją posiadać.

Blaise Pascal

- Niemożliwość porozumienia się z drugim człowiekiem jest jedną z największych mąk życia na ziemi.

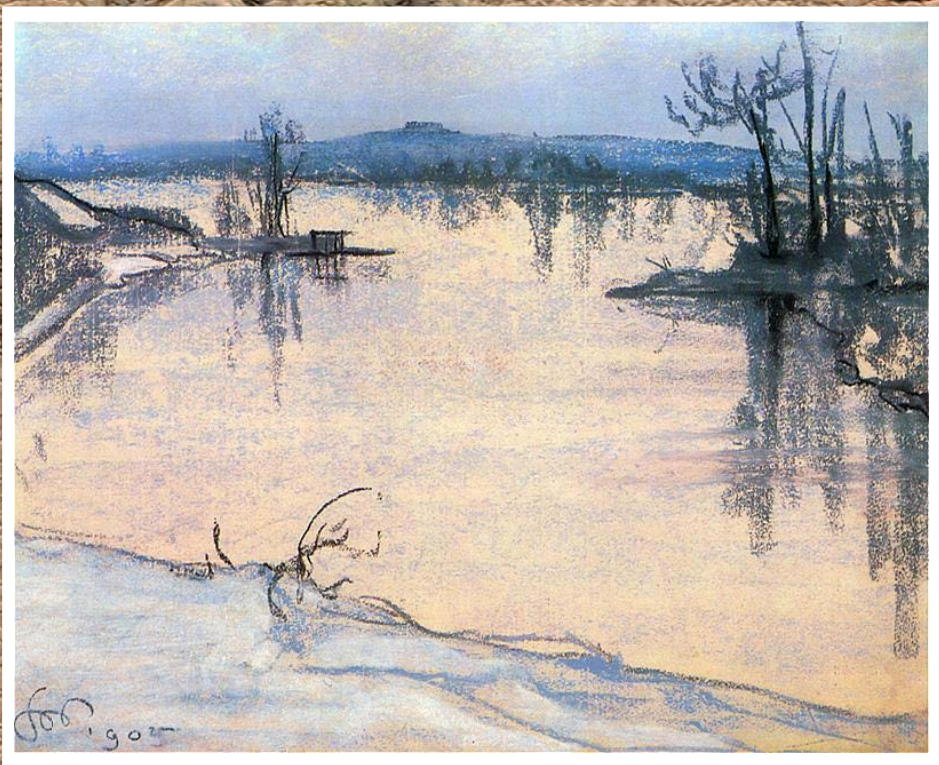
Maria Dąbrowska



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Kozioł

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: zasoby internetu



Stanisław Wyspiański
Wisła pod Krakowem (1905)